Dziś w numerze: L. WŁODKOWSKI **„Q"-inaczej konflikt czasu** ● T. WOJCIECHOWSKA **Sztuka przez duże „S"** ● A. MAKOWIECKI **Jazzus Rhythmus-Dzikie Anioły!** ● A. KASPROWICZ **Wirtuoz** ● **Rosyjska sztuka plastyczna** ● **Zewsząd o wszystkim**

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁODZI

45 (625)
9. XI. 1969 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

N. Błagowolin
MUZEUM LENINA W PORONINIE

WASYL KOCZNOW

Z rodzinnych stron Lenina

Sierpniowe niebo przeświecało przez mgłę, jak rosa zmieszana z zielenią tych drzew, zaglądających do okien dużego drewnianego domu z pamiątkową tablicą na frontonie. Powitałem ten dom jak starego znajomego, chociaż w Uljanowsku znalazłem się po raz pierwszy i nie byłem nigdy na tej ulicy. Wszystko, co ukazał mi dom wewnątrz swoich ścian okazało się tak samo bliskie i znajome, jak sam budynek i jego otoczenie.

Przytulne pokoje, w których stare meble dostojnie strzegą ciszy. Atmosferze tego wnętrza poddaje się każdy, kto przyjeżdża tu po raz pierwszy.

Przez okno widać Wołgę. Ołowianą nieruchomą gładziznę wody i bladożółte łachy przy drugim brzegu. Nawet kiedy nad rzeką szaleje wiatr, a nad dachami domów przewalają się ciężkie chmury, nawet wtedy trudno dojrzeć, czy ta majestatyczna szerokość wód w dole toczy swój nurt, czy też pozostaje nieruchoma. Bo stąd do Wołgi wcale nieblisko. Jeszcze trzeba zejść ze zbocza wzgórza, przedostać się przez parowy i wąwozy, a wtedy dopiero poczujesz na twarzy orzeźwiający wiatr i usłyszysz zbliżający się szmer fal. W mieście nawet w mgliste sierpniowe wieczory nie słychać Wołgi.

W kwietniu 1870 roku w Symbirsku w rodzinie inspektora szkolnego guberni symbirskiej, Ilji Nikołajewicza Uljanowa urodził się syn Włodzimierz.

Wołga rodziła myśl o buncie. Nie przez zwykły przypadek losu charakter przywódcy rewolucji proletariackiej ukształtował się na jej brzegach. Tutaj kontrasty społeczne były wyjątkowo jaskrawe. Pyszni panowie urządzali gonitwy, spacery. A w szarym świetle fal ciężko i powoli niby sama Rosja ciągnęły się ogromne barki załadowane kupieckim towarem i wzdłuż brzegu płynęły jękliwe pieśni burłaków. Między burymi stromiznami i zaroślami, jak w prześwitach chmur ukazywała smugę czystego światła wolna Wołga. A kraj ostatnim wysiłkiem burłackich nóg, wbitych ciężko w sypki piasek nadbrzeżny kroczył w męce ku przeznaczeniu historii. W ślad za poetą Niekrasowem tę kolebkę swego dzieciństwa nazywał Włodzimierz Uljanow rzeką niewoli i smutku. „Wyjdź na Wołgę... Czyj jęk się rozlega nad rosyjską wielką rzeką? Ten jęk u nas się pieśnią nazywa. To burłacy szeregiem idą".

Dalszy ciąg na str. 3

SIŁACZKA z Rosanowa

NIE wiem, czy moja odpowiedź na ankietę będzie ciekawa — ale niemniej chciałabym bardzo wziąć udział w spotkaniu „Siłaczek i Judymów" Ziemi Łódzkiej.

Mam dziś skończone 65 lat. Od 45 lat pracuję społecznie, bo moja praca zawodowa miała zawsze charakter społecznego działania. W pierwszym okresie jako nauczycielka, w drugim jako pracownik społeczno-oświatowy na różnych stanowiskach: kierownik świetlicy, miejski opiekun społeczny, inspektor pracy.

Od 10 lat jestem na rencie i pracuję znów społecznie jako terenowy opiekun społeczny.

W terenie wiejskim, gdzie prawie wszyscy wszystko wiedzą o sobie, trzeba liczyć się z tym, że takie, czy inne załatwienie krzywdy ludzkiej oddziałowuje na środowisko. Wytwarza opinie o ludziach, organizacjach, urzędach, polityce. Przy załatwianiu spraw, które uważałam za słuszne nauczyłam się cierpliwości i bezwzględności w postępowaniu, lecz do przezwyciężenia wszystkich trudności nie zawsze dochodziło.

W pierwszym okresie tych ostatnich 10 lat byłam m. in. radną w Grom. RN, przewodniczącą Komisji Op., Ośw. i Zdr., sekretarzem Koła Gospodyń założonego przeze mnie, przewodniczącą Komitetu Sklepowego. Plan pracy miałam i chciałam zrobić dużo. Nie zrobiłam nic. Okazało się, że nie jestem Siłaczką. Byli silniejsi — miałam wówczas za mało cierpliwości.

Zrezygnowałam więc ze wszystkich społecznych funkcji, zostawiając sobie jedynie robotę opiekuna społecznego. W tej pracy wiem, że biorąc sprawę poszczególnego człowieka, ponoszę całą odpowiedzialność za sposób jej załatwienia, bez konferencji, narad, uchwał i wniosków, które w rezultacie żadnej sprawy nie posuwają naprzód. Praca moja jest partyzantką. Widzę konieczność dopracowania się metod współdziałania wszystkich czynników w terenie.

To, że ludzie wierzą, iż im się pomoże zobowiązuje. Ale widzę, że działanie w partyzantkę jest nie wskazane, może być nawet szkodliwe dla układania się właściwych stosunków międzyludzkich. Tylko, że trzeba załatwiać ludzkie sprawy. Nie mogą czekać.

Jednym z problemów ogólnych, który mi się „plącze" w załatwianiu spraw poszczególnych ludzi jest sprawa lecznictwa otwartego dla mego terenu opiekuńczego. W 1966 r. zmieniono rejonizację opieki lekarskiej dla północnej części powiatu łódzkiego.

Zmiana ta okazała się dla mieszkańców bardzo uciążliwa, a dla mnie wręcz nonsensowna i od tego roku walczę o ponowną zmianę rejonizacji. Głową muru jeszcze nie przebiłam, ale głowa cała i cierpliwość też jeszcze jest.

Pozwolę sobie przytoczyć wyjątki pisma skierowanego do mnie przez Wydział Opieki Sp. i Zdr. na skutek mego „latania" w tej sprawie — na podstawie wytycznych Min. Zdr. i Op. Sp. nie jest możliwe korzystanie mieszkańców pow. łódzkiego z usług służby zdrowia miasta Zgierza (do 1966 r. korzystali) podstawową opiekę lekarsko-profilaktyczną... prowadzi punkt felczerski w Emilii, gdzie zatrudniony jest felczer (mamy rok 1969 nie 1949)... W przypadku stwierdzenia konieczności udzielenia pomocy specjalistycznej... — kieruje się pacjentów do przychodni obwodowej w Aleksandrowie...

Z Rosanowa tramwajem przez Zgierz do Łodzi i przez Łódź do Aleksandrowa. Są silniejsi.

Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" ma na terenie Rosanowa kilkunastu członków. Był tutaj sklep. Zlikwidowano go bez porozumienia z ludnością. Opracowałam projekt działania tego sklepu. Niestety, nic konkretnego w tej sprawie nie udało mi się uzyskać.

I jeszcze jedna, bardzo przykra i jak się okazuje, bardzo drażliwa sprawa.

Na terenie Gromady w Dzieżginie była filia niemieckiego obozu dla dzieci z ul. Przemysłowej w Łodzi. Dzieci ciężko tu pracowały w gospodarstwie rolnym Niemca. („Reportaż z pustego pola" W. Jaźdżyńskiego).

Sądziłam, że słusznie byłoby tutaj zorganizować szkołę przysposobienia rolniczego. Niestety, z uwagi na większą możliwość naboru uczniów do szkoły, została ona zorganizowana w Słowiku. A przecież powinna ona być pomnikiem pamięci tych dzieci.

HELENA KOPYLOWSKA-DROŻDŻEWSKA

ŚWIATA

Przez dwa ostatnie dni pazaziernika obradowali w Pradze ministrowie spraw zagranicznych państw — członków Układu Warszawskiego. Celem spotkania było omówienie przygotowań do ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa.

Od czasu podjęcia inicjatywy zwołania europejskiej konferencji, która to myśl rzucona została przez kraje członkowskie Układu Warszawskiego w lipcu 1966 roku w Bukareszcie, a następnie sprecyzowana w marcu br. w Budapeszcie, jest ona nieustannie przedmiotem międzynarodowych rozmów. Apel budapeszteński spotkał się bowiem z dużym zainteresowaniem, czasem nacechowanym pewną rezerwą, lecz najczęściej — życzliwym poparciem. Rząd Finlandii wkrótce po jego ogłoszeniu wystąpił z oświadczeniem o gotowości współdziałania w przygotowaniu i przeprowadzeniu konferencji. Placówki dyplomatyczne krajów Układu Warszawskiego udzielały odpowiedzi na liczne pytania, kierowane przez zainteresowane rządy pod adresem autorów propozycji.

Spotkanie ministrów spraw zagranicznych w Pradze jest ważnym etapem na drodze przygotowań do europejskiego gremium. Przynosi bowiem propozycję tematyki tej konferencji oraz jej terminu. W opublikowanym oświadczeniu reprezentowane przez ministrów rządy krajów socjalistycznych proponują włączenie do porządku dziennego konferencji europejskiej dwóch punktów:

1. *zapewnienie bezpieczeństwa europejskiego i wyrzeczenie się stosowania siły lub groźby jej użycia w stosunkach wzajemnych między państwami w Europie;*
2. *rozszerzenie, na zasadach równoprawności, stosunków handlowych, gospodarczych i naukowo-technicznych, zmierzających do rozwoju współpracy politycznej między państwami europejskimi".*

Rządy 7 krajów socjalistycznych apelują również do wszystkich państw europejskich, aby „w interesie pokojowej przyszłości kontynentu, dołożyły wysiłków w celu jak najszybszego zwołania konferencji europejskiej, która — ich zdaniem — mogłaby odbyć się w Helsinkach, w pierwszej połowie 1970 roku".

Oświadczenie praskiej narady przynosi więc konkrety i powinno przyczynić się do usunięcia wątpliwości tych europejskich rządów, które obawiały się, że konferencja „pójdzie zbyt daleko w tematyce". Zapewnienie bezpieczeństwa, wyrzeczenie się siły i rozwój współpracy — to problemy, interesujące wszystkie europejskie kraje, a zatem zapewniające również powodzenie konferencji. Inaczej mówiąc — ministrowie spraw zagranicznych na spotkaniu w Pradze z mnogości problemów wyselekcjonowali te, których przedyskutowaniem i rozwiązaniem zainteresowane są wszystkie kraje naszego kontynentu.

W pierwszym komentarzu do propozycji 7 ministrów spraw zagranicznych prasa zachodnia podkreśla, iż szanse europejskiej konferencji znacznie wzrosły wraz z dojściem do władzy w NRF ekipy rządowej Brandta-Scheela. Przypomina ona słowa nowego kanclerza z jego oświadczenia w Bundestagu w dniu 28 października, w których stwierdza:

„Tego rodzaju konferencja, po starannym przygotowaniu, może być ważnym etapem na drodze do większego bezpieczeństwa przy zmniejszeniu zbrojeń i etapem na rzecz postępu między partnerami wschodnio i zachodnioeuropejskimi".

Oświadczenie Brandta oczekiwane było z zainteresowaniem nie tylko w kwestii europejskiej konferencji. Czy spełniło oczekiwania?

Expose nowego kanclerza poprzedziły cztery wywiady prasowe, w których próbował zaprezentować swą linię polityczną. W ten sposób w samym oświadczeniu mógł ograniczyć się tylko do lakonicznych sformułowań w niektórych sprawach. Zapowiedział więc krótko: umocnienie współpracy z NATO i przyjęcie amerykańskiej propozycji uczestniczenia niemieckiego potencjału przemysłowego w badaniach przestrzeni kosmicznej, udzielenie odpowiedzi na radzieckie aide-memoire na temat rezygnacji z użycia siły, podpisanie — po wyjaśnieniach — układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej oraz zwrócenie się do rządu polskiego z propozycją podjęcia rozmów w odpowiedzi na przemówienie Władysława Gomułki z 17 maja br.

Nowe akcenty pojawiły się w expose Brandta wobec NRD. Wprawdzie zastrzegł, iż „uznanie przez rząd federalny Niemieckiej Republiki Demokratycznej w sensie prawa międzynarodowego nie może wchodzić w rachubę", ale równocześnie podkreślił niezbędność „dojścia przez uregulowane współistnienie do współżycia". Ponowił ofertę podpisania z rządem NRD wiążącego układu o rezygnacji z użycia siły oraz dalszego rozwoju stosunków handlowych.

Oświadczenie Brandta można by nazwać oświadczeniem zapowiedzi. Chociaż więc ma znaczenie to, co powiedział i czego nie powiedział (np. nie powtórzył za Kiesingerem, że ostateczne uznanie granicy na Odrze i Nysie może nastąpić wyłącznie w traktacie pokojowym) — o polityce koalicji SPD — FDP będzie można sądzić dopiero po czynach. Te zaś obserwować będziemy bardzo uważnie.

W. SŁAWSKI

FAKTY OSKARŻAJĄ

„SPIEGEL" — HAMBURG

Często wybierają zawód nie związany z przeszłością. Hitlerowski oprawca Haide był lekarzem, kiedy oskarżono go o zbrodnie wojenne; kat Mulka z Oświęcimia jest dziś handlowcem, sędzia b. hitlerowskiego sądu polowego, Krueger, był ministrem NRF do spraw przesiedlenia. Można by rzec: kompania zgrana, ale i też mocno zróżnicowana. Jednakże biskup znalazł się w niej po raz pierwszy.

Lidice, Oradour, Marzzabotto... a teraz z kolei wykaz niemieckiego barbarzyństwa przedłożyła włoska mieścina Filetto.

W NRF już od dłuższego czasu toczą się ożywione dyskusje, czy należy „kalać własne gniazdo" publikując demaskatorskie reportaże. Bawarska gazeta „Bayerkurier" stwierdziła swego czasu, iż „inne narody są niewiele lepsze od Niemców". Jednakże nawet ta tuba Straussa musiała przyznać, iż sprawa Defreggera „wywołała popłoch w środowiskach katolickich". Ewangelicka gazeta „Das Deutsches Allgemeine Sonntagblatt" nazwała to wydarzenie „tragedią (zachodnich) Niemiec", a katolicki dziennik nazwał sprawę Defreggera „ciosem, wymierzonym w zachodnioniemieckie koła katolickie".

Swego czasu, niemieccy biskupi, często z przekonania, czy też mając na względzie przywileje kulturalne i polityczne, zawarli przymierze z nazistami. Papież milczał dyplomatycznie, nawet wówczas, gdy to przymierze było jawnie hańbiące.

Z Defreggerem — sprawa jest nieco inna. Kiedy rozstrzeliwał zakładników, był kapitanem Wehrmachtu. Po wojnie poświęcił się służbie duszpasterskiej i został biskupem. Niemal jednocześnie wybuchł ten skandal.

Protektor Defreggera, kardynał Doepfner zwraca się do „sztandarowego" w takich okolicznościach świadka — apostoła Pawła. W „Historii apostołów", wiersz dziesiąty, rozdział 26, nawrócony Paweł przyznaje się wprawdzie do ciężkich błędów przeszłości, ale głosi: „jeśli ich (świętych) trzeba będzie zabić, ja to uczynię"... Doepfner próbował usprawiedliwić przyjęcie Defreggera w poczet ojców Kościoła, motywując to w sposób nader prosty: „Kościół nie może powoływać do służby kościelnej tych tylko ludzi, którzy „wyróżniają się bohaterstwem".

Ale przypomnijmy fakty: 29 stycznia 1944 roku w Marzabotto, we Włoszech, za napad na niemieckich żołnierzy rozstrzelano i spalono miotaczami ognia 1830 Włochów...

Ludzie odpowiedzialni za te potworne morderstwa, nazywają je „tragedią", „zrządzeniem losu", „koniecznością", „pomyłką". Kardynał Doepfner, występując w obronie biskupa Defreggera, powiedział: „Etyczna strona tego problemu tkwi w sferze pomyłki, w której znaleźli się również niemieccy żołnierze w wyniku tej nieszczęsnej wojny"...

Chociaż Doepfner wiedział, jaką rolę odegrał Defregger w Filetto, to mimo to złożył w Watykanie, w roku 1967, wniosek o nadanie mu godności biskupa. W tymże czasie generalny prokurator we Frankfurcie, Dietrich Ran, badając sprawę rozstrzelania włoskich zakładników przez wojska niemieckie, wpadł na ślad kapitana Defreggera. Oto latem 1944 roku żołnierze 114 dywizji strzelców, w której Defregger dowodził oddziałem rozpoznawczym, rozstrzelali 20 zakładników włoskich, w odwet za śmierć dwóch żołnierzy niemieckich, zabitych w potyczce z partyzantami we wsi Gubbio.

Gdy 7 lipca br. ukazała się w „Spieglu" informacja o roli, jaką odegrał w tym Defregger, kardynał Doepfner nie zasypiał gruszek w popiele i wysłał Defreggera do wschodniego Tyrolu. Dosłownie nazajutrz, tj. 8 lipca, kardynał Doepfner oświadczył oficjalnie, iż jego biskup jest „zrehabilitowany wobec prawa".

Niebawem kardynał Doepfner złożył następnę oświadczenie, którego zamach — jak podkreśliła to „Süddeutsche Zeitung" — był bardzo szeroki: „Tylko Bóg może osądzić winę człowieka, który znalazł się w tak niezmiernie trudnej sytuacji życiowej."

Jest interesujące, iż z przyczyn, których prokurator Ran nie uważał za stosowne wyjaśnić, wezwał on Defreggera przed sąd wyłącznie w charakterze świadka.

Według informacji pisma „Süddeutsche Zeitung", Defregger dowiedział się o wszystkim z publikacji w „Spieglu". Ale czy sąd wniesie oskarżenie? Jak sądzi monachijski korespondent „Spiegla", Otto von Loevenstern, który rozmawiał z Defreggerem, taka ewentualność nie istnieje. Loevenstern opowiada: „4 lipca odwiedziłem Defreggera. Spytałem, czy domyśla się celu mojej wizyty. Defregger założył ręce do tyłu i wykrzyknął patetycznie: „Po co grzebać się w tych starych dziejach?..." da to tak, jakby chcieli nam powiedzieć: „Możecie nas zabijać, ale będziecie musieli zabić nas bardzo wielu, być może nawet wszystkich."

Długo już idziemy tą drogą, dostatecznie długo, żeby wywołać odrazę i wstręt wielu Amerykanów, a nawet walczących tam żołnierzy, do statecznie długo, żeby skutecznie poderwać wiarę w nasze narodowe ideały. Popieramy jawnie lub półjawnie, wojskowo-dyktatorskie reżimy w różnych częściach świata, pomagając im w ujawnianiu narodów, walczących o swoją niepodległość.

Niemal wszyscy studenci, którzy słuchają moich wykładów, urodzili się po drugiej wojnie światowej. Akurat w tym czasie w życiu Ameryki wystąpiła seria nowych i nienormalnych zjawisk. W owym czasie wydawało się nam, iż są one chwilowym odchyleniem od normy. Sądziliśmy, że pewnego pięknego dnia powrócimy do zwykłego amerykańskiego życia. Niestety. Zjawiska te prześladują nas do dzisiejszego dnia, przez przeszło 20 lat i moi studenci uważają je już za normalne... Sądzę, że w USA zawsze był Pentagon, że zawsze utrzymywaliśmy ogromną armię i że zawsze obowiązywała u nas służba wojskowa. Ale przecież są to wszystko nowe zjawiska w amerykańskim życiu, sprzeczne z prawdziwym obrazem Ameryki.

Pod bronią mamy dziś trzy i pół miliona ludzi, przeszło 550 tysięcy amerykańskich żołnierzy walczy w Wietnamie, około 300 tysięcy znajduje się w różnych rejonach Oceanu Spokojnego, około 250 tysięcy w Europie zachodniej.

Twierdzę, iż wojna wietnamska jest tylko jednym z epizodów, bowiem dopóki będziemy mieli tak liczną armię, dopóty zawsze znajdzie się dla niej jakaś inna robota...

Jeżeli wojna w Wietnamie skończy się jutro, to należy przypuszczać, iż dysponując tak potężną machiną wojenną wplączemy się niezwłocznie w jakąś nową awanturę.

Mówi się, iż Stany Zjednoczone i Związek Radziecki mają dziś takie zapasy broni jądrowej, że na każdego mężczyznę, kobietę i dziecko na kuli ziemskiej przypada siła wybuchu równa 15 tonom trójnitrotoluenu. Piętnaście ton na każdego człowieka! I znów proponują nam zwiększenie naszych zapasów. Jest to oczywiście bardzo smutne, ale są to „fakty życiowe." Bardzo byśmy pragnęli przystąpić do rozbrojenia, ale nasz nowy minister obrony złożył memoriał, który sprowadza się do tego, że właśnie teraz nadszedł odpowiedni czas, iżby zwiększyć nasze zapasy broni jądrowej dzięki czemu przystąpimy do rozbrojenia „z pozycji siły".

Wydaje mi się, że wiem, co niepokoi studentów. Rzecz polega na tym, iż reprezentują oni pokolenie, które wcale nie jest przekonane, że ma przed sobą przyszłość. Ja już się starzeję i moją przyszłość, jeśli można się tak wyrazić, mam już poza sobą. Ale mam moich studentów, o których nieustannie myślę, i mam dzieci. Ich przyszłość jest dla mnie nieporównanie droższa, niż moja własna. Jesteśmy więc ze sobą nierozerwalnie związani.

Czy mamy szansę pozostania przy życiu? Żądamy nie dobrobytu czy bezpieczeństwa, lecz rozumnej szansy pozostania wśród żywych. Nie mamy ambicji wejść do historii, jako pokolenie apokaliptyczne.

Nie sądzę, aby istniały osobne problemy młodzieży, czy studentów. Wszystkie obecne problemy, o których mi wiadomo, są związane z problemami ludzi dorosłych.

Być może, wyda się wam to absurdalne, „akademickie" czy beznadziejnie naiwne jeżeli powiem: „Musimy bezwarunkowo pozbyć się broni jądrowej!" Broń jądrowa nie daje nam nic, oprócz bilansu strachu.

Sądzę, iż znaleźliśmy się w takim stadium, kiedy trzeba podjąć wielkie decyzje dotyczące nie tylko naszego kraju, nie tylko całej ludzkości, ale w ogóle życia na naszej planecie.

AMERYKANIE O POLITYCE USA

Protesty młodzieży amerykańskiej, skierowane przeciwko militaryzacji kraju i polityce agresji, cieszą się sympatią starszego pokolenia Amerykanów. Świadczy o tym m. in., wystąpienie znanego uczonego amerykańskiego, prof. George Walda, laureata Nagrody Nobla z r. 1967 w dziedzinie medycyny, członka licznych organizacji i towarzystw naukowych, na niedawnej konferencji naukowej w instytucie technologicznym w Massachusetts. Zamieszczamy skrót tego wystąpienia.

„BOSTON GLOBE" — MASSACHUSETTS

Dzisiejsze pokolenie studentów jest głęboko zaniepokojone. Młodzież akademicka sama jeszcze nie rozumie przyczyn tego niepokoju. Ja to rozumiem lepiej. Co więcej, podzielam ten niepokój. Więc co niepokoi naszych studentów? Niektórzy mówią, że wojna w Wietnamie. Sądzę, że wojna w Wietnamie to najhaniebniejszy epizod w historii Stanów Zjednoczonych.

Przypuszczam, że przegraliśmy tę wojnę i tak samo myśli wielu innych Amerykanów. Wietnamczycy mają tajemną broń. Jest to ich gotowość umierania, która przewyższa naszą gotowość zabijania. Doprawdy, wyglą-

POLONICA

SZTUKI CWOJDZIŃSKIEGO PO FRANCUSKU

Jadwiga Kukułczanka, znana i bardzo wybitna tłumaczka utworów Witkiewicza, Zapolskiej, Szaniawskiego, Nałkowskiej, Gombrowicza i innych na język francuski przetłumaczyła też komedie „naukowe" Antoniego Cwojdzińskiego w szczególności „Hipnozę" i „Freuda teorię snów". Antoni Cwojdziński za młodu fizyk, asystent na Uniwersytecie Warszawskim, potem aktor w „Reducie" Osterwy, zaczął twórczość dramatopisarską słynną „Teorią Einsteina", graną w „Reducie" kilkaset razy w reżyserii Juliusza Osterwy. Od tej chwili Cwojdziński konsekwentnie realizuje swój pasjonujący eksperyment, polegający na teatralnym zużytkowaniu wielkich współczesnych odkryć naukowych, od relatywizmu einsteinowskiego i freudyzmu aż po cybernetykę. Jedna z wybitnych aktorek francuskich zainteresowała się „Hipnozą" w przekładzie J. Kukułczanki, można się więc spodziewać, że niebawem komedia ta zostanie zagrana w Paryżu. Warto dodać, że równocześnie „Gallimard" opublikował w masowym wydaniu i wysokim nakładzie „Kurkę wodną" S. I. Witkiewicza, w przekładzie Kukułczanki.

TYM RAZEM LUCERNA

Współczesna muzyka polska zdobywa sobie w świecie coraz wyższą rangę. Świadczą o tym programy europejskich i zamorskich festiwali. Jedna z takich imprez artystycznych odbyła się niedawno w Lucernie. W jej programie znalazł się utwór głośnego kompozytora polskiego Krzysztofa Pendereckiego „Stabat mater". Powstał on w roku 1963 i zawiera, obok elementów nowego stylu, reminiscencję chorału gregoriańskiego. Recenzent szwajcarskiego dziennika „Neue Zuercher Zeitung" wyraża się o tej kompozycji i o jej wykonaniu na festiwalu niezwykle entuzjastycznie.

W drugiej części programu wykonano utwór Węgra Gyoergy Ligeti pt. „Requiem". Warto odnotować, że chórem i orkiestrą symfoniczną Radia Zachodnioniemieckiego dyrygował Andrzej Markowski, chór zaś zasiliła mezzosopranistka Anna Malewicz.

K.F.

POLONICA

Półka z książkami

„SZTUKA OKOŁO 1900"

Polska bibliografia sztuki wzbogaciła się ostatnio o nową interesującą publikację poświęconą tak modnej secesji. Po obszernym dziele prof. M. Wallisa „Secesja" ukazał się tom zatytułowany „Sztuka około 1900" zawierający materiały z sesji zorganizowanej pod tym hasłem przez Zarząd Główny Historyków Sztuki w 1967 r. w Krakowie. Tego typu publikacje grzeszą często zawężeniem problemów do szczegółów interesujących głównie specjalistów. Na szczęście „Sztuka około 1900" uniknęła tego niebezpieczeństwa i z czystym sumieniem można ją polecić czytelnikom, którzy chcą poszerzyć swoje wiadomości z dziedziny sztuki. Piętnastu autorów przedstawia prace o różnorodnej tematyce. Po wprowadzającym w epokę i jej najważniejsze problemy szkicu M. Wallisa „Przemiany w poglądach na secesję", znajdujemy m. in. omówienie twórczości rzeźbiarskiej Bolesława Biegasa, dzieje przyjaźni Stanisława Wyspiańskiego i mniej dziś pamiętanego Józefa Mehoffera, szkic poświęcony początkom polskiej nowoczesnej myśli urbanistycznej, środowisku artystycznemu Zakopanego w okresie Młodej Polski czy wreszcie omówienie symboli w plastyce młodopolskiej. Łodzian z pewnością zainteresuje szkic Ireny Popławskiej o architekturze naszego miasta w roku 1900, architekturze, którą codziennie mijamy nie poświęcając jej większej uwagi. Bardzo staranną edycję uzupełniają liczne zdjęcia korespondujące z omawianą problematyką.

B. M.

„Sztuka około 1900" — PWN, Warszawa 1969, str. 276, cena zł 64.—

Dalszy ciąg ze str. 1

Ale świt już ogarniał kraj. Zarys brzegu wyraźnie wyłaniał się z przypływu światła i głosów. Za chłopstwem i narodnikami na stromy brzeg Wołgi zaczął wchodzić proletariat. Lenin i partia robotnicza byli świadomym pierwiastkiem rewolucji, jej charakterem i myślą, najwyższym twórczym wzlotem. W fabrykach Powołża, na całej Rusi, wśród zesłańców i więźniów kształtowała się idea nowego wieku, jego śmiała myśl, która zdruzgotała świat ludzkiej wrogości, obojętności, egoizmu i okrucieństwa.

Z rodzinnych stron Lenina

Lenin już wtedy, jak mówi współczesny poeta A. Wozniesieński, jako pierwiastek genialności miał w sobie całą rzeczną i kipiącą Rosję. Już czuło się oddech Października — Pietrograd gniewnie przelewał się falami demonstracji pod hasłem: „Cała władza w ręce Rad!".

Nie można pojąć i wyobrazić sobie Lenina w oparciu o te pozbawione cudzysłowu cytaty z jego dzieł, którymi upstrzone są szkice i eseje o wodzu rewolucji proletariackiej. Lenin jest w nich schematyczny jak na plakacie. Trzeba czytać jego dzieła, a wtedy będzie rozmawiać z nami jak żywy z żywymi, stanie się bliższy, zrozumiały. Czego byśmy nie czytali z jego spuścizny, w każdym słowie odczuć można prostą ludzką dobroć, troskę o naród. Lenin dlatego tylko został nieprzeciętnym politykiem, że był genialnym myślicielem i wspaniałym człowiekiem. Bez zrozumienia tych wzajemnie warunkujących się cech nie można zrozumieć tej duchowej, moralnej siły, której wpływ odczuwali wszyscy znający go osobiście.

Lenin jest częścią historii ludzkości. Biografia Włodzimierza Uljanowa, który jako siedemnastoletni młodzieniec rozpoczął świadomą, rewolucyjną działalność, jest stosunkowo krótka i właściwie dobrze znana aż do najmniejszych szczegółów, a mimo to opowiedzieć o życiu i działaniu Lenina wszystko aż do końca, nie jest możliwe, gdyż było ono nie mniej obfite i złożone niż sama historia. Było to życie partii, życie kraju.

Wracając myślą i pamięcią do postaci Lenina, do jego dzieł, notatek, dzienników i brulionów zdobywamy wiarę i ufność w ludzki rozum. Pamięć jego współczesnych wskrzesza Lenina żywego, prawdziwego (bez szczudeł plakatu), przywódcę walk rewolucyjnych i działacza pierwszych lat budowy socjalizmu. Istnieją również notatki i pamiętniki, które wcale nie były obliczone na publikację; autorzy pisali dla siebie, wyłącznie dla siebie i zostały one udostępnione czytelnikom dopiero po śmierci pisarzy przy publikowaniu ich spuścizny literackiej. Kiedy jednak czytamy tego rodzaju zapiski i analizujemy je uważnie, odczuwamy tu żywy oddech wydarzeń, tutaj są utrwalone autentyczne emocje Włodzimierza Iljicza Lenina.

Są one po prostu uzupełnieniem charakterystyki, wodza rewolucji, jako człowieka i obywatela, bo pokazują go nam prawdziwie. Dlatego utrwalają się w naszej świadomości, stają się faktem literatury, egzystują obok takich książek o Leninie, jak „Niebieski zeszyt" E. Kazakiewicza, eseje, reportaże i opowiadania M. Szaganian. Wyłania się z nich Lenin-człowiek, taki jak jest — z mękami i szczęściem, żyjący radością i bólem narodu.

Notatki i pamiętniki o Leninie świadczą jak szczerze jest mu poświęcona i przepojona troskami epoki, sprawami narodu nawet ta najintymniejsza strona pracy ówczesnego twórcy.

W naszych trwożnych czasach tysiące ludzi odczuwa palącą potrzebę znalezienia człowieczeństwa leninowskiego, bliskiego obcowania z nim. W tych miejscach gdzie żył i działał Lenin wśród należących do niego książek, przedmiotów i mebli, które pieczołowicie chronione są tak w Uljanowsku, jak i we wszystkich muzeach leninowskich, także w Polsce, — w Poroninie — realniej odczuwa się jego obecność, zrozumiałe stają się źródła jego siły ducha i myśli, leninowskiej wiary w przyszłość. Szczególnie bezpośrednio czuje się obecność Lenina w stolicy utworzonego przez niego państwa. Tutaj każda ulica słyszała Lenina. Stąd odchodzili ochotnicy na fronty wojny domowej, na subotniki, na pierwsze budowle socjalizmu. Rosja Radziecka rosła i kształtowała się. Wcielała w życie leninowski testament:

„Socjalizm — to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju".

Kraj radośnie rozwarł na oścież zaklejone, zabite deskami, zapchane szmatami okna — po mroźnych zawiejach i epidemiach chorób chciwie chłonął ciepło i światło.

Zmieniała swe oblicze legendarna Wołga. Inne stawały się jej brzegi. Potężny krwiobieg rzeki zapulsował w turbinach, światło elektryczne rozjaśniło miasta i wsie. Nieprzypadkowo żarówkę nazywa lud radziecki lampą Iljicza.

Ale stara Rosja nie odchodziła bez oporu. Krwawo broniła swych majątków i fabryk, strzelała zza węgła, tworzyła uzbrojone bandy, organizowała sabotaż.

Niewysoki łysy człowiek z pomiętą czapką w ręce, spokojnie, ufnie i bez trwogi spotykał się z ludem na zebraniach, wiecach. Wróg czekał tylko na dogodną chwilę, organizował zamachy. Mimo tej śmiertelnej walki — dzieło Lenina zwyciężyło.

Lenin był politykiem, filozofem, uczonym, teoretykiem, zawodowym rewolucjonistą, ale w ankiecie personalnej w rubryce — zawód — Lenin pisał: dziennikarz. Nie przez skromność. Po prostu dlatego, że tak właśnie rozumiał rolę społeczną dziennikarza.

O jego wspaniałym talencie pisało wielu literatów światowej sławy. Bertold Brecht zaliczał prace Lenina do „arcydzieł literatury światowej", zachwycał się niezwykłą umiejętnością leninowską, umiejętnością „przemycania rozumu tam, skąd się go zwykle wypędza". Poeta Borys Pasternak porównywał język Lenina do języka Lwa Tołstoja. Ścisłość i dobitność języka literackiego, potężny talent publicysty spokrewniły go z wielkimi pisarzami Rosji.

Lenin napisał wiele dzieł publicystyczno-filozoficznych.

Największym dziełem Lenina jest jednak nowa socjalistyczna epoka, socjalistyczna Rosja, stojąca razem z innymi państwami socjalistycznymi na czele walki o pokój, o sprawiedliwość społeczną, o wolnego człowieka.

WASYL KOCZNOW

Teodor Sujczyński

Przed 50 laty

Walka o powszechność nauczania w Łodzi

Starania o powszechność nauczania w Łodzi, należy ujmować w trzech okresach; znaczą je lata: 1917, 1918 i 1919—1921. Uchwały, które zapadały w poszczególnych okresach, miały każdorazowo inny ciężar gatunkowy. Pierwszą uchwałę w 1917 r. cechowała ogromna powściągliwość w stawianiu zagadnienia, w następnym roku Rada Miejska potraktowała sprawę już szerzej, a dopiero trzeci rok starań i wielkich zabiegów przyniósł postanowienie Rady, które pozwoliło w pełni zrealizować sprawę przymusu szkolnego.

Ksawery Prauss, pierwszy minister oświaty w Polsce przedwrześniowej, twierdził, że do wprowadzenia powszechności nauczania potrzebne są trzy warunki: środki materialne, odpowiedni personel i uświadomienie ogółu. Spełnienie każdego z tych warunków wymagało kolosalnych prac. Ale podnieść tu trzeba jeszcze jeden podstawowy moment: Polska nie miała wtedy — w latach 1917—1918 przepisu prawnego, który by pozwolił wprowadzić przymus szkolny z wszelkimi sankcjami w stosunku do opornych rodziców.

Był rok 1916. Dnia 12 listopada okupanci niemieccy i austriaccy powołali do życia Tymczasową Radę Stanu jako „zaczątek polskiej administracji państwowej na ziemiach byłego Królestwa Polskiego". Jeszcze krwawiła Europa. Widoczne były już jednak oznaki nadchodzącej klęski Niemiec wilhelmowskich. Dnia 1 października 1917 r. okupant oddaje szkolnictwo władzom polskim. Czeka się na wydanie przepisów w sprawie obowiązku szkolnego. Właśnie ukazują się one, ale nie w oczekiwanej postaci. W Dzienniku Urzędowym Departamentu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego zostaje ogłoszony w 1917 r. przepis prawny w sprawie powszechności nauczania. Art. 11 tak stawia zagadnienie: „Wszędzie tam, gdzie jest dostateczna liczba szkół dla pomieszczenia wszystkich dzieci w wieku szkolnym nauka staje się obowiązkowa". Ale sprawę przymusu szkolnego ustala się następująco: „Obowiązkową naukę przeprowadzi się na mocy przepisów o obowiązku szkolnym, które oznaczą oddzielne ustawy". Dopiero oznaczą. A więc dalej jest brak podstaw prawnych, które pozwoliłyby zmusić opornych rodziców do posyłania dziecka do szkoły.

Natychmiast po przejęciu szkolnictwa przez władze polskie Rada Miejska miasta Łodzi, powołana po raz pierwszy do życia w 1917 r., posiada już przygotowany budżet szkolny. W dniu 8 października 1917 r. w dyskusji nad szkolnictwem radni podnoszą słabą frekwencję w szkołach powstałą właśnie z braku przepisów o obowiązku szkolnym. Na to podstawowe zagadnienie Rada Miejska zwraca uwagę już na progu swej działalności, pragnąc tą drogą uświadomić społeczeństwo o konieczności wprowadzenia przymusu szkolnego. W listopadzie 1916 r. w szkołach łódzkich było 573 oddziały i w nich 27 941 uczniów, a w następnym — 1917 r. — Łódź miała oddziałów więcej, bo 591, a dzieci uczyło się mniej — 25 194. W ciągu roku odeszło ze szkół blisko 2 tys. dzieci. Nie było podstaw prawnych, które zmusiłyby rodziców do pozostawienia dziecka w szkole.

Istniały wtedy w Łodzi szkoły z podziałem na polskie, niemieckie i żydowskie. Na zebraniu Rady Miejskiej w dniu 7 listopada 1917 r. radny Aleksy Rżewski mówił o tym podziale i omawiał stan materialny tych szkół. Z mównicy padają słowa pełne goryczy i bólu, gdy mówi o stanie szkół polskich.

Radny A. Szwajcer, referujący zagadnienia obowiązku szkolnego na zebraniu Rady Miejskiej w dniu 24 września 1918 r., powołując się na wypowiedź Rżewskiego, przekonywał radnych, że Rada Miejska jest kompetentna do przeprowadzenia uchwały o wprowadzeniu powszechnego przymusu szkolnego.

W wyniku rozważań i dyskusji podjęto uchwałę wprowadzającą obowiązek szkolny na jeden rok szkolny w stosunku do dzieci chodzących już do szkoły.

Do realizacji uchwały nie doszło. Udaremniły ją wypadki polityczne. Po odzyskaniu niepodległości przeprowadzono nowe wybory do Rady Miejskiej, do której wszedł kontynuator i realizator dzieła A. Rżewskiego i A. Szwajcera, dr Stefan Kopciński. Mamy już w kraju państwowy akt prawny wprowadzający przymus szkolny. Jest nim dekret o obowiązku szkolnym z dnia 7 lutego 1919 r. **Dnia 30 czerwca 1919 r. Rada Miejska podejmuje jednomyślnie uchwałę, mocą której został wprowadzony na terenie miasta przymus szkolny. Pełna jego realizacja rozłożona zostaje na okres trzech lat. Trzeba było przygotować dla 30.500 dzieci, pozostających wtedy poza szkołą, lokale szkolne, meble i personel nauczycielski.**

W trosce o dobro wszystkich dzieci Wydział Szkolny postanawia objąć nauką dzieci upośledzone umysłowo i moralnie zaniedbane. Organizuje się szkoły dla tych dzieci w sposób przemyślany. Dr Stefan Kopciński zostaje delegowany do Warszawy dla przeprowadzenia badań nad organizacją tych szkół.

W wyniku tych i innych zabiegów powstają w Łodzi, po raz pierwszy w jej historii, szkoły dla dzieci umysłowo upośledzonych, szkoła z internatem dla dzieci moralnie zaniedbanych, szkoła dla dzieci głuchoniemych i szkoła dla dzieci chorych na jaglicę. Powstaje też szkoła o szczególnym charakterze, jedyna w kraju szkoła eksperymentalna, zwana oficjalnie Szkołą Pracy pod kierownictwem pedagoga Romualda Petrykowskiego. Zjeżdżają do niej pedagodzy z całej Polski i z zagranicy zapoznając się z metodami pracy.

Od uchwały podjętej na zebraniu Rady Miejskiej m. Łodzi upływa 50 lat. Zbiegły się w Łodzi dwie rocznice. Obok czczonego przez cały kraj 25-lecia powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mamy drugi powód do radości i dumy: 50-lecie zwycięskiej walki z ciemnotą. Społeczeństwo łódzkie, szczególnie młodzież i nauczycielstwo, nie pominą na pewno w Dniu Nauczyciela tej wielkiej rocznicy.

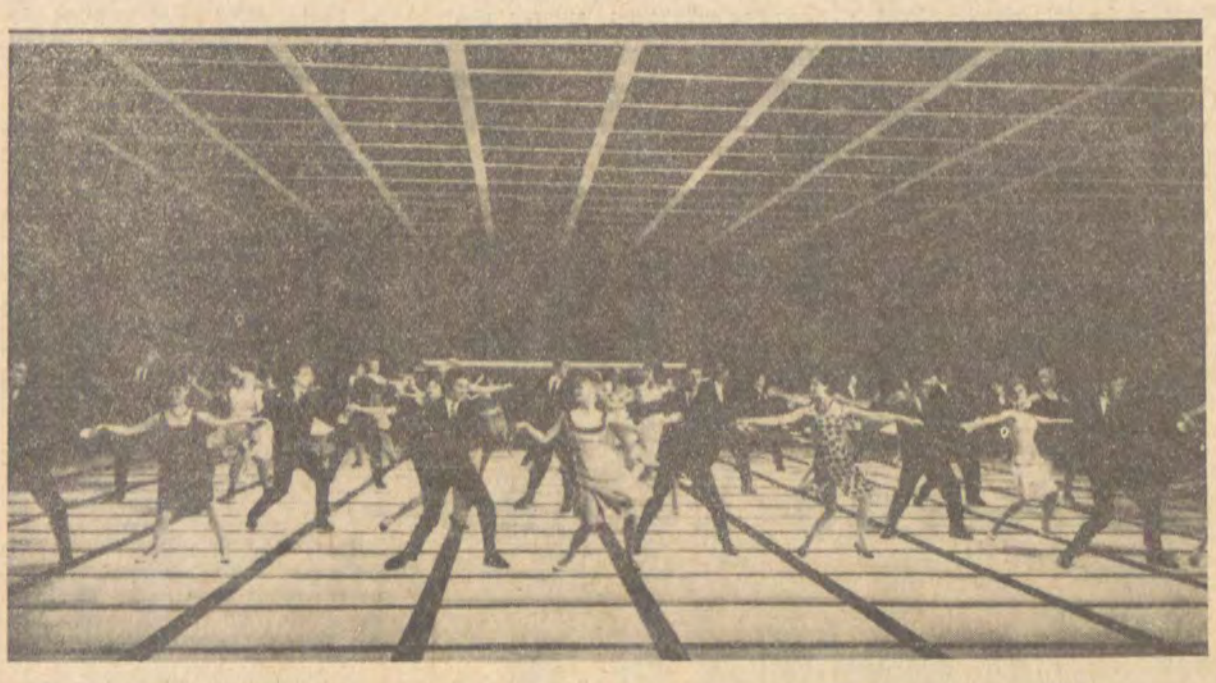

ANDRZEJ MAKOWIECKI

JAZZUS RHYTHMUS—DZIKIE ANIOŁY!

W Sali Kongresowej rozszalał się jazz. W kuluarach szemrały plotki. Akurat w tym momencie, kiedy na estradzie pojawił się mister Waschko i odwołał występ angielskiego zespołu „Chris Babers Jazz Band", w hallu do stoiska z piwem podszedł znakomity polski saksofonista, Michał Urbaniak, i zamówił lemoniadę. Na estradzie, w charakterze zapchajdziury, stanął niejaki Sadowski, gawędziarz ludowy, i zagrał parę nudnych kawałków przeplatanych gędzeniem dowcipów, w hallu Urbaniak zaserwował mi z pierwszej ręki kilka ciekawych informacji przerywanych westchnieniami. Ludzie na widowni dowiedzieli się od Sadowskiego, że ostatni z wykonanych utworów jest jego własnej kompozycji, co było ponurym, dopiero następnego dnia wyjaśnionym żartem, jako że piosenka należała do Beatlesów — w kuluarach ja dowiedziałem się od Urbaniaka, że Czesław Niemen pozyskał dla swojego zespołu „Enigmatic" jednego z najlepszych jazzmenów Europy: Zbigniewa Namysłowskiego, i jednego z najlepszych perkusistów w Polsce: „Małego" Bartkowskiego, co było ponurą prawdą, jako że jazz i beat są obecnie na etapie tak zwanej integracji...

Kiedy zamknąłem oczy, to przypomniało mi się momentalnie sprawozdanie z ostatniego, „najważniejszego w świecie" festiwalu jazzowego w Newport, które napisał w „Jazzie", pod tytułem: „Festiwal czy igrzyska". Whitney Ballitt:

„...wszędzie pełno dziewcząt i chłopców dźwigających pakunki, kocce i flaszki wina. Różnili się w zasadniczy sposób od swych poprzedników z 1960 roku (...) Mieli długie nieczesane włosy, dziwaczne ubranka, sprawiali wrażenie brudnych (...) Cała armia obozowała za estradą, drugie tyle obsiadło duże wzgórze naprzeciw, tłum oblepił bramę wejściową i mury (...) Podczas koncertu miały występować grupy grające rock, jego wyznawcy przyszli więc niczym pielgrzymi, by oddać cześć muzyce, która jest ich symbolem i bronią. Przyszli by posłuchać Jeffa Backa, Starc Marcusa, Jethro Tull, Ten Yers Affer, Blood, Sweat and Tears, a także Ronalda Kirka, jedynego zespołu jazzowego występującego tego wieczoru (! — A. M.). Od Kirka młodzież dowiedziała się skąd pochodzi ta „jej" muzyka, pokazano im, jak powinna ona brzmieć".

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem polską rzeczywistość jazzową. Łza się w oku kręci. Dawni schludni intelektualiści, uprawiający z nabożeństwem trudną sztukę improwizacji i swingu, snuli się teraz w kuluarach poprzebierani w wymyślne stroje z welwetu, sztruksu i innego świństwa. Namysłowski, które go muzykę głęboko poważam, zapuścił włosy do ramion. Urbaniak, oprócz długiej fryzury, miał na piersiach zaśniedziały big-beatowy medal. Pewien znany kompozytor, słodki czterdziestolatek, brylował w pociesznej, długiej do kolan kapocie i był mistrzem świata w kategorii bokobrodów. Inni znani rycerze trąb, puzonów i barabanów kłuli oczy wąsami i brodami, podzwaniali bransoletami, przytupywali butami o długich kozaczych cholewkach. Niektórych jazzmenów trudno było odróżnić od ćmy beatowych kibiców, niechlujnych i rozwydrzonych, przybyłych do Sali Kongresowej nie po to, żeby kontemplować muzykę Thompsona i Fergusona, lecz żeby podjudzić do głośniejszego grania dwa młodzieżowe zespoły mocnego uderzenia — Breakoutów i Bizonów — które zwulgaryzowały atmosferę, ale zapewniły organizatorom stuprocentową frekwencję. Jazz, który był sztuką ambitną, doceniana przed laty przez wszystkich wybitnych kompozytorów i dyrygentów, który miał swój niemały udział w rozwoju muzyki w ogóle, a big-beatu w szczególności, który, mówiąc prościej, spłodził przypadkiem te wszystkie rocki, twisty, rhythm and bluesy, lecz wypierał się ich, tak jak prokurator wypiera się córki złodziejki — daje sobie ostatnio z big-beatem wielką pojednawczą buźkę przejmując od niego nie tylko gitary basowe i część repertuaru, ale także obyczaje.

Będąc wprawdzie zwolennikiem Niemena, bez wątpienia najlepszego polskiego wokalisty i wytrawnego muzyka, nie mogę się pogodzić, że Namysłowski zgodził się wobec niego grać rolę służebną; to coś takiego, jakby Chopin zaczął nagle akompaniować w knajpie dla etowi znanych rewelersów. Nie będąc wprawdzie przeciwnikiem Bizonów, czołowego zespołu mocnego uderzenia, nie potrafię strawić faktu, że znaleźli się oni w programie tej, niegdyś ekskluzywnej, szanowanej w świecie muzycznym imprezy; to coś takiego, jakby w kościele zorganizowano wystawy pornograficznych zdjęć...

Z Bizonami wdarła się na estradę Marianna Wróblewska. Siedziałem w pierwszym rzędzie i gitary, wzmocnione kolumną ponurych aparatów, szarpały mi trzewia. Śpiewała ostro, z temperamentem, ale nie o to chodzi, że to z jazzem miało niewiele wspólnego, że było niesmaczne w zestawieniu z wykonanym tuż przedtem przez grupę Trzaskowskiego dramatycznym „Epitafium dla Krzysztofa" czy z pełną niezapomnianej ekspresji i dobrego smaku grą kanadyjskiego wirtuoza trąbki Maynarda Fergusona... Chodzi o to, że Wróblewska szarżowała na scenie, w wełnianej sukience w wielkie oka i że przez te oczka widać było trochę za dużo, nawet jak na gust warszawskich playboyów. Z początku podejrzewano, że ona sobie tylko żartuje mając pod spodem trykot w kolorze ciała, ale kiedy wzięły ją w dwa ognie ostre reflektory punktowe, to nie było już wątpliwości, że król jest nagi. Nie jestem rozhisteryzowaną dewotką, żeby robić z tego wielki rwetes i gdyby coś takiego pokazali mi w „Bristolu", albo na imieninach u wuja Kleofasa, to chętnie bym się pogapił, tu jednak, w Sali Kongresowej, było to oczywistym nietaktem.

W nocy poszedłem na Jam Session do „Stodoły". Z trudem przedarłem się przez zbitą ciżbę rozmaitych jazzfanów, beatfanów i rozhisteryzowanych, szukających rozróby małolatków. Kiedy zamknąłem oczy, znowu przypomniałem sobie sprawozdanie z ostatniego festiwalu w Newport, „zmieniającego się powoli — jak pisze Whitney Ballitt — w festiwal rocka: obok tej muzyki przemyca się trochę jazzu".

„(...) Tłumy były tego wieczoru ogromne. Występować miał zespół „Sly and Family Stone", murzyńska grupa grająca rock and roll (...) Tłum młodzieży białej i czarnej zaczął napływać poprzez ogromną dziurę w płocie, oddzielającym główną część audytorium od lóż i miejsc dla prasy. Wpadli jak burza, niszcząc balustrady, przewracając krzesła, zmuszając ludzi do ucieczki. Policja przez pięć minut walczyła z nastolatkami. „Sly and the Family Stone" nie przerywali gry. Obawiano się, że festiwal zostanie przerwany i zamknięty po występie „Sly and the Family Stone" (...) Kiedy na estradzie pojawił się wokalista O. C. Smith — było już po bitwie. Pojedynczo i grupkami młodzież zaczęła powoli wychodzić. Niektórzy robili wrażenie jakby byli po narkotykach; inni niewątpliwie po dużej ilości alkoholu; większość była przemoknięta, mizerna, zmęczona życiem".

Kiedy otworzyłem oczy, znowu zobaczyłem polską rzeczywistość jazzową. Nie było wprawdzie narkomanów. Konflikt pomiędzy pilnującymi wejścia wykidajłami a napastliwym kłębowiskiem kibiców zakończył się na wzajemnych poszarpywaniach i mięsistych słowach. Na estradzie przepychało się dwudziestu muzyków grając niestrojnie różne przebrzmiałe dixielandowe kawałki, a na widowni, przy stolikach i pod ścianami, trwała wojna nerwów pomiędzy ortodoksami, a tymi, którym potrzeba było na gwałt silniejszych wrażeń: elektrycznych gitar, wzmacniaczy i śpiewu. To, co dla trzydziestolatków było najpiękniejszym wspomnieniem młodości, dwudziestolatkom przypominało strażackie rzępolenie, toteż popatrywali z nadzieją na wąsatych gitarowców kręcących się po „Stodole" w liczbie pięćdziesięciu.

Nie opiszę, jak wyglądały „stodolniane" toalety i różne zakamarki, bo nie chcę psuć nikomu apetytu. Parki ze sztuczną ostentacją całowały się na oczach tłumu i w powietrzu szybowały rajcowne dialogi:

— Gdzie jest Bob?

— Poszedł zmoczyć tę małą z Akademii. Ale jeszcze wróci.

— Powiedz mu, że jestem w tej drugiej salce za estradą i mam na grane dwa paskudztwa z luksusowym garażem.

— Słuchaj, pytała o ciebie Kasieńka.

— Gdzie jest?

— U tego Szweda w trzysta sześćdziesiąt dziewięć. Prosiła, żebyś zorganizował jakieś polegajło i przyjechał...

Nikt nie słuchał muzyki, która z upływem czasu brzmiała coraz żałośniej i ciszej, świadoma swojej niemocy.

Dziewiętnastego października, w niedzielę, odbył się w Sali Kongresowej finałowy koncert festiwalu. Zmęczony czterodniowym maratonem poszedłem tylko na drugą część, żeby posłuchać znanego mi dobrze z płyt Phil Woods'a, który miał grać na saksofonie ze swoim zespołem „European Rhythm Machine".

Z początku wszystko zapowiadało się dobrze. Wystąpił Urbaniak prezentując kulturalny, niewyspekulowany jazz, a po nim grał na fortepianie Mieczysław Kosz.

Ale kiedy przebrzmiała wzruszająca, dramatyczna muzyka świetnego polskiego pianisty, na estradzie pojawił się mister Waschko, zwiastun przykrej niespodzianki: oto przez mgłę, która zaległa nad Polską, nie przybył na festiwal Phil Woods...

Zrobiłem wówczas szybkie podsumowanie i okazało się, że z szumnie rozreklamowanych po mieście solistów i zespołów wystąpił tylko Thompson i Ferguson, zabrakło natomiast Chris Babera, Ottille Paterson, Phil Woods'a, a także innych, mniej znanych, choć równie głośno zapowiadanych jazzmanów.

Czy rzeczywiście wszystkiemu winna ta złośliwa, nieprzewidziana mgła? Czy też może jest to wynik bałaganiarstwa i słabości trawiącej Polską Federację Jazzową? Mnie się wydaje, że gdyby Baber, Peterson czy Woods zostali zaprogramowani w Paryżu albo w Moskwie, to, mgła nie mgła, przybyliby na czas: jeśli nie samolotem — to rowerem. Poza tym — co ma mgła do zapowiedzianego i odwołanego seansu archiwalnych filmów o jazzie?

Jeszcze jedno: bilet na koncert w Sali Kongresowej kosztował osiemdziesiąt złotych, a karnet na wszystkie koncerty — trzysta czterdzieści. Czy w związku z nieobecnością Babera, Paterson, Woods'a i innych muzyków — Polska Federacja Jazzowa zwróci ludziom część pieniędzy za bilety?

Zadając to pytanie, a także tkwiąc w najszczerszym przeświadczeniu, że w sposób sugestywny i plastyczny obnażyłem słabości polskiego jazzu — jego komercyjność, wulgaryzm i wynaturzony obyczaj — pozostaję, w niezachwianej pewności, że Polska Federacja Jazzowa przyzna mi pierwszą nagrodę w oficjalnie ogłoszonym konkursie na najlepsze sprawozdanie z festiwalu. Chyba, że i ta „impreza" zostanie przytomnie odwołana...

ANDRZEJ GRUN

Rosyjska sztuka plastyczna

Jest rzeczą trudną i ryzykowną organizowanie ekspozycji retrospektywnej, a zwłaszcza takiej, której celem jest ogarnięcie twórczości wielu artystów rozrzuconych na przestrzeni kilku stuleci. Wystawa taka spełniać musi dwa podstawowe warunki: ukazać winna chronologiczny rozwój pewnych koncepcji ideowych lub formalnych, założonych z góry scenariuszem oraz zaprezentować dzieła poszczególnych twórców, wyrażające owe koncepcje a jednocześnie będące charakteryzującym wykładnikiem ich indywidualnej twórczości. Wybór i zgranie poszczególnych elementów takiej ekspozycji nie jest więc sprawą prostą i efekt rzadko bywa doskonały. Albo ucierpi ogólna koncepcja, albo twórczość poszczególnych artystów legitymowana będzie obrazami bądź marginalnymi bądź o mniejszych walorach artystycznych. Potknięcia takie są jednak praktycznie nie do uniknięcia, zwłaszcza jeżeli ekspozycja obejmuje okres 700 lat. Siedem wieków twórczości intensywnej i różnorodnej związanej organicznie z nurtem historii równie bogatym i równie intensywnym. Niełatwo również przychodzi oglądanie takiej wystawy a tym bardziej jej recenzowanie. Pomijając już samą liczbę eksponatów, przy tego rodzaju wystawach oczywistą, największą trudność sprawia owa ogromna ilość konwencji, sposobu widzenia i obrazowania, wielość koncepcji formalnych, różnorodność tematyczna, odrębność indywidualności twórczych pomieszczonych w kilku salach wystawowych. Przeskakiwanie z jednej epoki w drugą, z jednego klimatu w inny, odrywanie oczu od malowidła barokowego, aby napotkać następnie np. obraz klasycystyczny, jest nużące, wymaga żmudnego wysiłku, może w efekcie wypaczać wizerunek całości. Należy więc takie wystawy omawiać bardzo ostrożnie, pamiętając ciągle o scenariuszu jakim kierowali się organizatorzy.

Wystawa Rosyjskiej Sztuki Plastycznej w warszawskiej „Zachęcie" obejmuje okres od wieku XIII do naszych dni i mieści w sobie ponad 250 eksponatów malarstwa i rzeźby. Dodając do tego ciężar gatunkowy wielu płócien i rzeźb, wystawa duża i treściwa. Koncepcję przewodnią ekspozycji organizatorzy sprecyzowali jasno i przeprowadzili konsekwentnie. Eksponowane więc zostały dzieła powstałe z inspiracji rzeczywistości związanej wyłącznie z człowiekiem, jego bezpośrednim otoczeniem, jego życiem. Krótko — dzieła realistyczne. Preludium wystawy stanowi bogaty pokaz ikon i rzeźby staroruskiej, eksponowanej zresztą po raz pierwszy w Polsce. To odwołanie się w retrospekcji do twórczości sprzed czasów Piotra I, do twórczości najdawniejszej, od wieku X po XVIII trwającej bez przerwy, oficjalnej i jedynej, jest znamienne i dla całości ekspozycji korzystne. Sztuka, która od XVIII wieku, dzięki reformom Piotra I, zaczęła znajdować w Rosji prawo azylu, była sztuką orientującą się na wzory zachodnie — włoskie, francuskie i holenderskie, zrywającą z twórczością ośrodków prawosławnych, z twórczością o inspiracji i wymowie sakralnej. Niemniej sztuka ta zachowała w swoich najgłębszych pokładach wartości i doświadczenia ogromne i niepowtarzalne, z których co prawda nie zdawała sobie jasno sprawy, które zaprzepaścić się oczywiście nie mogły z tej chociażby racji, że wyrosły z ducha rosyjskiego ludu, wyrażając go bodaj najpełniej. Pokazane na wystawie ikony pochodzą z kilku szkół, które mimo iż obowiązywały w nich te same podlinniki, różnią się przecież od siebie wyraźnie stosowanymi środkami ekspresji. I tak oglądamy ikony malowane w szkole nowogrodzkiej, syntetyczne i skromne. Ikony ze szkoły moskiewskiej — wytworne i niemal przerafinowane. Ikony z ośrodka rostowsko-suzdalskiego, z Pskowa. Wreszcie niedawno odkryte malowidła ze szkół północnych, bardzo swoiste w swoim ascetycznym wyrazie. Dzieła mistrzów staroruskich zdumiewające prostotą i czystością, skromnością środków i bogactwem treści, harmonią barw i siłą ekspresji, są bez wątpienia najpiękniejszą partią wystawy. Bo niepojęty jest wprost fakt, że ci genialni artyści (nie uważani zresztą przez swoich współczesnych za artystów) potrafili w granicach rygorystycznych kanonów pomieścić tyle treści i tyle formalnych wartości. Wiek XVIII i dekrety Piotra I odebrały malarstwu ikonowemu wszelkie pryncypia i zepchnęły je w rejony twórczości ludowej. Trwało ono co prawda jeszcze i przez wiek XIX, ale było to już zwyrodniałe malarstwo jarmarczne, uwolnione od wszelkich kanonów i dyscyplin.

Wiek XVIII, zwany przez historyków „złotym wiekiem" sztuki rosyjskiej, przynosi rozkwit malarstwa, rzeźby i architektury. Kwitnie więc sztuka przeszczepiona z obszarów zachodnich na teren Rosji rozkazem władcy absolutnego. Nie mniej samo sięgnięcie po wzory europejskie jest znamiennym wyrazem tych wszystkich przemian, które dokonały się za sprawą Piotra I a narastały przez cały wiek poprzedni. Życie artystyczne ówczesnej Rosji koncentruje się w 2 punktach — na dworze carskim i w powstałej w roku 1757 petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, oficjalnym bastionie klasycystów. Gatunkiem wiodącym tego okresu jest tak w malarstwie jak w rzeźbie portret. Twórczość portretowa F. S. Rokotowa, W. L. Borowikowa a przede wszystkim F. I. Szubina, i O. A. Kiprenskiego zapowiada rozkwit tego rodzaju w XIX stuleciu, a potem i w Rosji porewolucyjnej. Portret obok malarstwa pejzażowego stanie się z czasem najciekawszym rodzajem twórczości artystów rosyjskich. Oba te gatunki będą zawsze ściśle powiązane z wielką rosyjską literaturą, której istotą jest ciągła, obsesyjna

WIESŁAW ŁOWICKI

Trudna CHOROBA

„Picie alkoholu rodzi solidarność, która trwa znacznie dłużej niż picie i niewiele ma wspólnego z demonem alkoholizmu, tak jak to lubią przedstawiać propagandziści antyalkoholowi. Solidarność ta w całości nie zasługuje na potępienie. Jest dobra lub zła w zależności od c e l ó w, które przyświecają tym, co się akurat zebrali przy kieliszku. Trudność czy zgoła niemożność rozróżnienia owych celów jest chyba w naszych warunkach obyczajowych jedną z największych przeszkód na drodze zwalczania powszechnego picia".

Tak napisał Stefan Kozicki i są tó słowa mądre i bardzo gorzkie.

Gorzki i wstydliwy jest także problem alkoholizmu i niewiele mają z nim wspólnego publikacje — samograje szczodrze sypiące cyframi spożycia; niewiele mówią o tym problemie publicystyczne rozdzierania szat i biadania nad losem alkoholików i ich rodzin. Mówią niewiele bo są — mimo wszystko — naskórkowe. Alkoholizm jest trudnym i ciężkim zespołem chorobowym, ale wciąż w świadomości społecznej n i e j e s t to choroba. Nie tylko zresztą w świadomości społecznej — także w prawodawstwie.

Obowiązujący kodeks karny rezygnuje całkowicie z pojęcia tzw. „rauschdeliktu" stanowiąc, że „alkohol jest tak silnym czynnikiem kryminogennym, iż w konflikcie między zasadą ochrony społeczeństwa przed sprawcą pijanym, a zasadą pełnej indywidualizacji winy, pierwszeństwo winno przypaść zasadzie ochrony".

„Niemożność przyjęcia tak radykalnego rozwiązania — mimo całego uznania dla motywów Komisji Kodyfikacyjnej — wynika m. in. z faktu, że odpowiedzialność w prawie karnym socjalistycznym opiera się na winie moralnej, a więc może dotyczyć wyłącznie osób zdolnych do świadomego kierowania się w swym postępowaniu co złe lub dobre". Tak twierdzi wielu prawników. Mamy jednak mimo to zasadę, że niepoczytalny odpowiada jak poczytalny...

Oczywiście sygnalizuję tylko problem — stawiam go — być może — dyskusyjnie, ale w systemie polskiego prawa od lat ścierają się te dwa nurty. Ustaleń zasad odpowiedzialności niepoczytalnego, jeśli przyczyną owej niepoczytalności jest z a w i n i o n y stan odurzenia.

I tak jest w każdym wypadku, gdy chcemy o alkoholiźmie mówić p o w a ż n i e, bez dziennikarskich chwytów, bez obrazków z Izby Wytrzeźwień. Zbyt skomplikowany to bowiem problem i nie wiem czy powierzchowne, jednoznaczne opinie mogą się tu na coś przydać.

Na pewno jest to ciężka choroba rozwijająca się często na podłożu patologicznym. Jej ofiarą padają ludzie o słabej zdolności do pokonania napięć psychicznych. Stąd też tak duży odsetek pijących właśnie w zawodach gdzie owe napięcia są niemal nieodłączną konsekwencją nerwowej pracy.

Alkohol — jak każdy narkotyk — daje nieocenioną w takich wypadkach zdolność odprężenia, odsunięcia na dalszy plan spraw kłopotliwych, trudnych, dręczących. Ale działanie mija i człowiek pozostaje znów sam i... znów sięga po narkotyk. Powoli — nie bardzo jeszcze to rozumiejąc — zaczyna się pogrążać w cykle alkoholowe, które lekarze zwą dipsomanią, a w języku rosyjskim znaleziono na ich określenie celne słowo — „zapoj".

Na dobrą (czy raczej złą) sprawę, człowiek w stanie „zapoju" nie różni się pod względem medycznym od człowieka w ataku padaczki. Jest też chory i też powinno zabrać go pogotowie... Nie milicyjne, ale ratunkowe.

Też coś! — może ktoś powiedzieć — mało mamy p r a w d z i w y c h chorych? Otóż to. Alkoholik może być uznany za „świętą krowę" — ale nie za chorego. Konsekwencje tego stosunku są oczywiste. Za mała jest liczba łóżek w wydzielonych oddziałach szpitali psychiatrycznych — na 17 województw mamy zaledwie 6 zakładów odwykowych, choć odpowiednie zarządzenia już przed laty zobowiązały WRN-y do organizowania takich placówek.

Wystarczy zresztą jeden tylko przykład z tego zakresu. Średni czas, jaki upływa między skierowaniem alkoholika do leczenia przez sąd — a przyjęciem do szpitala wynosi kilka miesięcy. To w wypadku sądowych wyroków — a jeśli ktoś chce s a m, czując ciężar choroby, szukać ratunku w szpitalu? Praktycznie jest to prawie niemożliwe.

Pozostaje rzecz prosta jeszcze spora liczba przychodni przeciwalkoholowych, ale w tej skomplikowanej i ciężkiej chorobie stanowią one zaledwie ćwierćśrodek. W roku 1967 rejestrowano w nich ponad 40 tysięcy pacjentów — potem jednak nastąpił wyraźny spadek. Nie — nie zmniejszyła się ilość alkoholików, po prostu poradnie nie mają dość potrzebnej im siły atrakcyjnej, ograniczając się głównie do podawania anticolu.

Największą jednak słabością poradni jest brak odpowiedniego personelu, przygotowanego do tej specyficznej pracy, brak lokali itp.

Mówił o tym dr Wacław Bojanowski w referacie wygłoszonym przed rokiem na posiedzeniu Stałej Komisji Rady Ministrów d/s Walki z Alkoholizmem. Wyjątkiem są tu poradnie Poznania, Warszawy i Łodzi stosujące kompleksowe oddziaływanie psychoterapeutyczne. Bo w tej trudnej chorobie czasem dla zachowania równowagi wystarczy zwykła, nieskrępowana rozmowa z lekarzem. Z człowiekiem, do którego pacjent ma absolutne pełne zaufanie.

Ale niestety — poradnie nie załatwią sprawy, nawet jeśli władze zapewnią im lepsze warunki działania. Niestety — ponieważ systematycznie rośnie w Polsce liczba alkoholików z psychozami, co świadczy o istotnym wzroście liczby alkoholików w najdalej posuniętym stadium nałogu. W tym samym referacie dr Bojanowski powiedział wprost: „Wobec wzrastającego nadal spożycia alkoholu, należy przewidywać dalsze szybkie wzrastanie liczby psychoz alkoholowych". A tych ludzi nie można już leczyć w poradniach lecz w zamkniętych zakładach.

Rzecz prosta nie jest żadną tamą dla tego wzrostu owe osiem złotych podwyżki na półlitrze. Rozwiązaniem natomiast byłoby zwiększenie ilości zakładów zamkniętych. Ale na to się nie zanosi. Wiadomo, że w myśl ustawy antyalkoholowej rady narodowe obowiązane są kierować 10 proc. z wpływów z dopłat do cen alkoholu na zwalczanie alkoholizmu na swym terenie. W ostatnich czterech latach uzyskano z owych dopłat ponad 4 miliardy złotych. Na zwalczanie alkoholizmu przeznaczono niewiele ponad 300 milionów złotych, a więc mniej niż 10 proc.

Trzysta mln to w końcu jednak duża suma, ale — uwaga — na inwestycje (a więc nowe zakłady i oddziały odwykowe) przeznaczono tylko 18 mln zł a wykorzystano... 14 milionów zł.

Zresztą kontrole NIK wykazują, że część pieniędzy z owych sakramentalnych 10 proc. przeznacza się na cele nie mające nic wspólnego ze zwalczaniem alkoholizmu. Ponadto — odnośne zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej sprzed 6 lat jest — jak to wykazała praktyka — dość nieprecyzyjne jeśli chodzi o kierunki zużytkowania sum z tzw. „butelkowego". Jeszcze do połowy tego roku mimo nacisku Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego nie doszło do zrewidowania i uściślenia owego ministerialnego zarządzenia.

Może więc lepiej w tej sytuacji pisać sentymentalnie lub rodzajowo, z sensacyjką lub obyczajowo — niż dotykać problemu choroby alkoholowej p o w a ż n i e?

Zawsze zresztą istnieć będzie możliwość, że ktoś postawi pytanie: czy jest sens wyrzucać pieniądze na leczenie alkoholików skoro nawet w takiej Szwecji notuje się zaledwie 7 proc. całkowicie wyleczonych? Myślę, że jest sens nawet jeśli w tym przedziwnym zespole chorobowym notuje się masowe nawroty nałogu. Jest sens, ponieważ dla chorego, jego rodziny i społeczeństwa, ważny jest każdy rok abstynencji nawet bez gwarancji całkowitego wyleczenia.

Jest sens, nawet gdyby było prawdą twierdzenie (ale to nie jest prawda), że nie istnieje obiektywna możliwość całkowitego wyleczenia. Nawet wtedy trzeba zrobić wszystko, aby zahamować proces choroby.

* * *

Nie pisałem o wódce i pijących. Pisałem o chorobie alkoholowej — dlatego nie było tu dowcipów, powiedzonek „z życia" i tuwimowskiego „Słownika pijackiego", nie było mnogich cytatów o zaletach trunku, cytatów od Kochanowskiego do Gałczyńskiego... Zbyt wiele słów kłębi się bowiem wokół tego problemu — zbyt wiele słów, a zbyt mało energicznych, n a p r a w d ę mądrych decyzji. Zbyt wiele półśrodków — zbyt mała wiara w ostrzegawcze głosy lekarzy i psychologów. A trudna, skomplikowana choroba bierze nas — jednego po drugim — w swoje ramiona.

---

1) WACŁAW BOJANOWSKI, ZDZISŁAW JAROSZEWSKI — „Lecznictwo alkoholików w Polsce" — referat wygłoszony na posiedzeniu Stałej Komisji RM d/s Walki z Alkoholizmem.

2) ALEKSANDER RATAJCZAK — „W obronie instytucji „Rauschdeliktu", Problemy Alkoholizmu nr 3/1969.

3) WŁODZIMIERZ PLESZKO — „Niektóre aktualne zadania i problemy walki z alkoholizmem" — Problemy Alkoholizmu nr 4/1969.

T. Polkowski — *Scena w karczmie*

Książki nadesłane

Draham Roman
OSWAJANIE
Ossolineum zł. 16,—

Styczeń Janusz
LUSTRO-SOFISTA
Ossolineum zł. 12,—

Chaciński Stanisław
KILKU, TEN SAM
Ossolineum zł. 10,—

---

projekcja człowieka, jego świata wewnętrznego, nieustannie na tle nieogarniętej, przebogatej rosyjskiej przyrody. I tak jak ukoronowaniem sztuki portretowej XIX wieku staną się płótna Repina, N. N. Gaya, N. A. Jaroszenki, I. M. Kramskowo, głębokie i bogate w swoim wewnętrznym wyrazie, tak obrazy I. I. Lewitana, I. I. Szyszkina, A. I. Kuindżi oddadzą nieporównanie całe bogactwo i nostalgiczną poetykę pejzażu, całą wielość jego form i odcieni całe to niepojęte pomieszanie konkretu i nierealności, szalonego tętna i bezruchu odczytywane wielokrotnie w strofach wierszy, z kart prozy poetów i prozaików rosyjskich.

Po okresie kopiowania wzorów zachodnich z większym lub mniejszym wkładem własnym, to znaczy po wieku XVIII i pierwszych latach XIX, naturalną koleją rzeczy budzi się u artystów rosyjskich — u całej zresztą postępowej inteligencji rosyjskiej — silna świadomość własnej odrębności kulturowej, własnej problematyki społecznej, własnej historii i własnego miejsca wśród innych. Twórcza niegdyś petersburska Akademia Sztuk Pięknych staje się rezerwatem konserwatyzmu i wstecznictwa. Będąca w opozycji do oficjalnego akademizmu zasiedziałego w obcych przecież koncepcjach klasycystycznych grupa postępowych twórców o wyraźnie demokratycznych poglądach zakłada Towarzystwo Objazdowych Wystaw Artystycznych (1870 rok). Zwą się pieriedwiżnikami i znajdują oparcie w wielkim mecenasie sztuki, księciu P. M. Tretiakowskim, założycielu przyszłej galerii i w krytyku sztuki W. W. Stasowie. W programie pieriedwiżników leży rozbudzenie świadomości narodowej i wprowadzenie na arenę sztuki problematyki rodzimej zobrazowanej we własny, odrębny i zgodny z duchem rosyjskim sposób. Druga połowa XIX wieku to rozkwit wielkiego rosyjskiego realizmu sięgającego mocnymi korzeniami w życie współczesne, odważnego w w odkrywaniu różnorakich problemów społecznych, niejednokrotnie demaskatorskiego w swojej społecznej wymowie. Obok portretu i pejzażu na forum sztuki wchodzi rzeczywiście śmiałe, narodowe malarstwo rodzajowe, historyczne i batalistyczne. A więc obrazy W. W. Wereszczagina, W. I. Surikowa, W. M. Wasniecowa...

Twórczość końca XIX wieku, a przede wszystkim lat przedrewolucyjnych została na warszawskiej ekspozycji skomponowana nader pieczołowicie i z ogromnym wyczuciem stylu i proporcji. Obok W. Sierowa, który jest jakby pożegnaniem z wielkim realizmem a równocześnie zwiastunem spraw nowych mamy do czynienia z plejadą członków grupy Mir Iskusstwa — artystów zrywających z hermetyzmem owego realizmu, który wyczerpał już swoje możliwości i popadał w powolne skostnienie. Zainteresowani doświadczeniami impresjonistów, postimpresjonistów, nabistów a także francuskim symbolizmem, a więc twórczością Gauguina, Puvis de Chavannesa, M. Denisa dają wyraz temu na swoich płótnach, nie odżegnując się jednak całkowicie od tradycji najbliższej i nie zamykając oczu na specyfikę warunków lokalnych. Emanujące z zachodu Europy, z Francji i Niemiec prądy wskazują na konieczność poszukiwań, zaszczepiają bakterie nowych idei, kierują uwagę w kierunku doświadczeń formalnych. Zawiązany w początkach XIX wieku „Bubnowyj Walet" zwraca się szczególnie silnie w stronę Cezanne'a. Dzieje się to w okresie, kiedy na Zachodzie wybucha petarda fowizmu, kiedy Picasso i Braque dokonują swoich odkryć kubistycznych, kiedy wreszcie we Włoszech rodzi się futuryzm. Te eksplozje twórczych poczynań działają jak narkotyk, podniecają i nie mogą pozostać bez odpowiedzi. P. Konczałowski, I. Maszkow, A. Lentuow, W. Rożdiestwieński — awangarda „Bubnowo Waleta" zapisuje chlubne karty rosyjskiego modernizmu. „Cezannizm" w ich wydaniu posiada specyficzny charakter. Wyraża się przede wszystkim w martwych naturach, rzadziej w pejzażach. Jako swego rodzaju kierunek staje się w pewnych kołach artystów rosyjskich dość powszechny. Zabrakło co prawda na wystawie twórców rosyjskiego futuryzmu. W koncepcji ekspozycji nie pomieścili się przedstawiciele konstruktywizmu, suprematyzmu, łuczyzmu... Płótna „bubnowców" w pewnym stopniu rekompensują nam te braki. Ich świeżość jest zdumiewająca. Legenda zaś heroicznego okresu przedrewolucyjnej awangardy rosyjskiej, łącząca się z tymi obrazami, każe znowu sięgnąć pamięcią do literatury, a zwłaszcza poezji z tamtych dni. A swoją drogą jest rzeczą znamienną, jak sztuka rosyjska łączyła się i łączy ciągle tak ściśle z literaturą, ze słowem pisanym.

Okres porewolucyjny reprezentują obrazy i rzeźby należące do gatunku zwanego realizmem socjalistycznym. Zyskał on ostatecznie supremację w sztuce radzieckiej, która trwa po dzień dzisiejszy. Oczywiste nawiązanie do wielkiego realizmu XIX-wiecznego, podejmowanie tematów bieżących, natychmiastowa reakcja na aktualne wydarzenia, rozmach i doskonały warsztat charakteryzują to programowe malarstwo, które nazwałbym „malarstwem publicystycznym". Legitymując się osiągnięciami dużej miary — płótna A. A. Dejneki, J. J. Moisiejenki, K. F. Juona — żyje w nieco hermetycznym odosobnieniu, zajęte własnymi sprawami, wierne tradycji, odporne na kuszące propozycje i mody zachodnie. Niemniej jest to malarstwo silne i pewne swoich racji, szczere i na swój sposób bezkompromisowe. Odsuwając na bok penetracje formalne, uwagę całą skupia na zagadnieniach treści, operując tradycyjną ale wypróbowaną skalą ekspresji. Rozwoju sztuki radzieckiej dopatrywać należy się raczej w podejmowaniu przez nią coraz to nowych tematów, w rozszerzaniu samego pojęcia r e a l i z m niż w jej formalnych aspektach. Te same uwagi dotyczą i rzeźby — figuratywnej, sięgającej często do wzorów klasycznych, zajętej bez reszty sylwetką ludzką lub ludzką głową. Atrakcją wystawy w „Zachęcie" są bez wątpienia rzeźby W. I. Muchinej, zwarte, syntetyczne, oszczędne, umiarkowanie ekspresyjne mimo to pełne wyrazu i treści.

ANTONI KASPROWICZ

WIRTUOZ

...Za żadne skarby świata nie sprzedam tej harmonii. Na próżno co dzień molestuje mnie stara, że hałas, sąsiedzi, nasze dziecko.

Zresztą nie rozumiem, jak mogą ludzie te miłe dla ucha dźwięki nazywać hałasem. Przecież to bluźnierstwo. A nasz Oleś? I ja też byłem dzieckiem, a jednak w melodiach tej jednorzędówki, którą pozostawił mi umierający ojciec, wyrosłem na chłopa...

Więc za żadne skarby świata! Niech się piekli magnifika... Jeszcze czego. Takie miechy, taki regestr... a jak lekko chodzą klawisze, a jakie dźwięki. Proszę posłuchać: same kanarki, słowiki, aż serce rośnie. No i co? — sprzedać taki artystyczny instrument? W dodatku po starym? Chyba zwariowała moja Weronika.

A zresztą, proszę: tuż nad klawiaturą „wygrawirowano": „Wirtuoz". Proszę — wirtuoz. A czy na każdej harmonii widnieje taki napis? Czy pomyślała o tym moja magnifika? Przecież ten napis mnie osobiście dotyczy. To koledzy od Reinischa, wyskrobali go scyzorykiem, na pamiątkę, żeby — jak powiadali — i twój dzieciak, gdy podrośnie wiedział coś nie coś o tym naszym nędznym życiu i walce.

Więc ja nie opylę tej harmonii za Boga. A jak Oleś podskoczy — to opowiem mu wszystko dokumentnie co i jak w tym trzydziestym trzecim roku odegrało się u tego Reinischa.

Pamiętam przecież jakby to dziś. Pracowałem wtedy w odlewni w dziale warsztatów mechanicznych. Załoga była liczna, zgrana, ale rozgoryczona, bo wypłacali nam wtedy tak fachowcom jak i niewykwalifikowanym stawki godzinowe niższe od stawek zagwarantowanych umową zbiorową.

Naradzaliśmy się często po kryjomu po zakamarkach odlewni, aż wreszcie pewnego dnia przez wybranego delegata wysunęliśmy żądania wyrównania stawek. Fabrykant w odpowiedzi wymówił pracę delegatowi i pięciu aktywniejszym robotnikom. Wtedy zorganizowaliśmy na podwórzu fabrycznym ogólne zebranie załogi, które wyłoniło nową delegację z żądaniem natychmiastowego cofnięcia wymówień.

A kiedy po denerwującej godzinie wrócili delegaci i oznajmili nam, że fabrykant odrzucił żądanie — ogłosiliśmy natychmiastowy strajk okupacyjny.

Oczywiście część załogi tylko przystąpiła do strajku. Zawiedli odlewnicy i robotnicy warsztatu młyńskiego... Zastrajkowało nas wtedy pięćdziesięciu... Byliśmy zdecydowani na wszystko...

Niektórzy myślą, że strajk okupacyjny to wylegiwanie w oczekiwaniu, aż Pan Bóg pomoże, a my, tymczasem z rurami na ramieniu dzień w dzień i noc w noc, wartowaliśmy, by grupy łamistrajków z warsztatu młyńskiego gromadzące się przed portiernią, nie wtargnęły na teren fabryczny. A do tego jeszcze trzeba było pomyśleć o noclegu i podtrzymywaniu na duchu załamujących się towarzyszy, a w dzień i w nocy mieć baczne oko na działalność zdradziecką wśród strajkujących, bo i tak też się często zdarzało. A tu w dodatku chłód i głód i te nocne penetracje, czy w zabudowaniach fabrycznych nie zaprószono gdzieś ognia.

Najgorzej jednak było z noclegiem. Trzy noce szczękając zębami przekimaliśmy na betonie i żelaznym szmelcu.

Czwartej nocy kilku chorych i starszych zrejterowało cichaczem do domów. Myślę sobie: — Oj, źle, oj, niedobrze. A co będzie dalej?

Podchodzę więc jednego dnia do ślusarza Marczewskiego i mówię:

— A jakby tak, towarzyszu, tę drewnianą szopę przylegającą do warsztatów montażu turbin zamienić na barak noclegowy? Co wy na to?

No i co? Tego samego dnia zmajstrowaliśmy z powybieranych w stolarni desek dwupiętrowe kojka, które zasłaliśmy słomą zarekwirowaną z fabrycznej stajni. Spaliśmy co prawda po dwóch na jednym wyrku, ale wygodniej było niż na zimnym betonie lub żelaznym szmelcu.

Od chwili jak poszedł abcynk o strajku na miasto, rodziny nasze przynosiły nam wałówki. W koszyczkach, bańkach, dwojakach, zawiniątkach — jak kto mógł. Wałówki dzieliliśmy rzetelnie i nikt nie położył się spać głodny.

W piąty dzień okupacji prawie wszyscy spaliśmy już pod kocami, które przyniosły nam żony, dzieci, krewni lub bliżsi sąsiedzi, życząc nam wytrwałości i rychłego zwycięstwa.

Tak się działo parenaście lat temu, w trzydziestym trzecim, kiedy prawie we wszystkich łódzkich fabrykach włókienniczych wybuchał strajk za strajkiem, a nieraz toczyły się rozpaczliwe i krwawe walki z policją.

Pamiętam to wszystko dziś dokładnie, a kiedy mi Oleś podskoczy w lata, opowiem mu jak to dawniej walczyli robotnicy i jego stary i ta jego matka, która teraz każe sprzedać tę harmonię, którą sama przytaskała w czasie strajku wraz z wałówką. Ucałowałem wtedy instrument i z miejsca wyrżnąłem siarczystego marsza...

Od tego dnia było nam raźniej, weselej. Zapanował pogodniejszy nastrój, utrwalała się wiara w nasze zwycięstwo. Byli i tacy, co podrywali się do tańca, kpiąc sobie z niewygód i bądź co bądź dokuczliwego głodu.

Od tej chwili, dzień w dzień od rana do północy szybowały z baraku po fabrycznym podwórku głośne melodie z jednorzędówki połączone często z bojowymi pieśniami strajkujących.

Gdy zmrok otulał fabryczne zabudowania wraz z pałacykiem fabrykanta, przylegającym do kompleksu zabudowań, ja zaczynałem a za mną nasi chórem:

— Na barykady ludu roboczy...

Wznosiła się ta zbuntowana pieśń pod pułap szopy, rosła i potężniała jak nadciągająca burza, nabrzmiała buntem i grozą błyskawic i przez rozwalone wierzeje wylatywała na wolność krzepiąc serca walczących, a trwogą porażając ciemiężycieli...

I grzmiała ta moja harmonia jak zbuntowane orkiestry, oszalałe organy, jak trąby powietrzne i jak zwycięskie okrzyki bojowe na ostrzelanym placu...

O Boże mój, Boże! A dzisiaj ta moja stara każe mi sprzedać tę zachrypniętą i wysłużoną harmonię. O, co to, to nie. Nigdy, przenigdy! Niech skonam, a nie pozwolę...

Gdzieś po tygodniu, kwietniowym porankiem, tak, pamiętam dobrze, zjawia się w naszej szopie portier Cianciara i rozglądając się lękliwie duka:

— Ja od wielmożnego pana. Wielmożny kazał, by ta harmonia ustała, bo wielmożny pracować, ani spać nie może...

Wygwizdaliśmy Cianciarę, który zniknął jak cień. Tej nocy jednak fabrykant nasłał nam łamistrajków z oddziału młyńskiego, ale my wartowaliśmy na zmianę czujnie przed portiernią z żelaznymi rurami, więc cofnęli się i rozeszli nocą do domów.

A kiedy zamrugał ranek — ja znów „Warszawiankę", a kochani za mną:

„Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę...",

I tak przez następny dzień i co wieczór, aż do niedzieli, kiedy to apiać pojawił się w szopie wylękniony Cianciara:

— Wielmożny — powiada — kazał wam wysłać człowieka — powiada — który by jeszcze raz rychtyk omówił co i jak... by później urządzić konferencję z waszymi delegatami i razem z inspektorem podpisać nowy protokół i te umowe...

Podeszliśmy do Cianciary, a on dalej, poufnie:

— Wielmożny lata jak wariat. Z góry do biura i z biura do góry. Klnie, trzaska drzwiami i krzyczy:

— Zamówienia idą, terminy upływają, a ta banda okupuje moje werke, pomstuje, i fafluchtuje waszego wirtuozera.

— Pierwszy raz słyszę o takim nazwisku — odezwał się z kojka Wacek Barański z narzędziowni, gdy portier zniknął za drzwiami.

— Nie wirtuozera, a wirtuoza — frajerze, sprostował ślusarz wąchała. To taki majster, uważasz. Majster nad majstry, w muzyce, który smyka smykiem po skrzypcach, aż iskry pryskają ze strun jak z martenowskiego pieca, albo zasuwa palcami po klawiszach w trymiga, jak ślepy Bronek na Wodnym Rynku.

A był to dla mnie wtedy piękny dzień. Tak, pamiętam dobrze, piękny dzień.

— Niech żyje nasz wirtuoz. Niech żyje. — krzyczeli towarzysze i wreszcie cap mnie za portki i w górę. Raz, drugi, trzeci...

A kiedy oprzytomniałem, jak nie wyrżnę im marsza, aż szopa się cała zatrzęsła. Po prostu melodie z harmonii jak płomienie.

Tak, pamiętam dobrze, jakby było to dziś... A ta moja stara nic, tylko w kółko trzaska dziobem:

— A na co ci ten grat, to skrzypiące pudło.

Ale ja za skarby świata ... Niech się piekli Weronika, niech zgrzytają sąsiedzi, niech płacze nasz Oleś, a ja tej harmonii, nie i nie i jeszcze raz nie. Nie sprzedam za żadną cholerę!

Zaraz w poniedziałek rano, tak, dobrze — w poniedziałek rano, postanowili wszyscy, że nie kto inny, tylko ja mam się udać do Reinischa, by ustalić termin konferencji i przedłożyć warunki: przyjąć z powrotem wydalonych robotników, wyrównać godzinowe stawki, i nie szykanować strajkujących. — I żeby to wszystko było zagwarantowane protokółem... przestrzegali towarzysze, podprowadzając mnie przez podwórko pod drzwi fabrykanckiego pałacyku.

— O, rany boskie, co ja wtedy przeżyłem. Serce — jak kołatka — dusza — jak gołąb, a nogi — ołów. Ale ja nic — tylko pnę się po schodach. A na tych schodach — zielony dywan z mosiężnymi drążkami i poręcz aksamitem obita, a na ścianach nic tylko malowidła i malowidła. Nawet szyby w oknach kolorowe jak tęcza. „To ci fabrykant" — myślę sobie, a tu z jednych drzwi na parterze wypływa damulka w białym fartuszku i z białą przepaską na głowie, więc ja do niej:

— W których to drzwiach mieszka pani stary? — pytam grzecznie, a ona w śmiech i wskazując na czwarte w rzędzie drzwi, powiada:

— Tam gabinet szefa — i spływa w dół jak anioł.

Podchodzę ja na palcach do tych drzwi. Podchodzę, podchodzę, pukam i pukam, a wreszcie wchodzę i co ja widzę? Sam Reinisch za biurkiem, a za nim na ścianie w złoconej ramie kobieta nagusieńka leży sobie pod drzewami na tygrysiej skórze, a przed nią z rozpostartymi skrzydełkami przestrzelony gołąbek. Leży wygięta, a wypięty kuperek, okrąglutki i różowiutki jak księżyc. Aż mnie zatkało...

Wyrwał mnie z oszołomienia Reinisch, podsuwając fotel, w który zapadłem jak w pierzynę.

A kiedy wreszcie uzgodniliśmy sprawy i fabrykant wyraził zgodę na przyjęcie wydalonych metalowców i podwyżkę stawki o piętnaście groszy na godzinę, wstał i zakończył zagniewany.

— Niech więc przyjdą jutro delegaci i podpiszą wspólny protokół, ale pod warunkiem, że ta swołocz, ta kanalia, ta buntownik i agitator, ta zwariowana szpilman-wirtuoz nie trafi do mnie więcej. I nikt mi w tym nie przeszkodzi donnerwetter, bo to moja wirtschaft, moja — Reinischa... krzyczał wyprowadzając mnie na schody.

Schodziłem na plątających się nogach i rozmyślałem: — „Wszystko, wszystko powiem tylko nie o wirtuozie. Ani mru mru. Za Boga! Przecież ich tylu, a ja jeden. Głodno, oczekujące rodziny, borgi w sklepikach. Nic, tylko zamilczeć, a wieczorem pryskać ukradkiem za bramę. Tak postanowiłem i z ciężkim sercem wszedłem do baraku.

— I co na to stary? pytali ciekawie otaczając mnie gromadnie.

— Wszystko oszlifowane na błysk — ja no to. — Staremu zmiękła mutra i przystaje na nasze żądanie. Jutro o jedenastej inspektor z Reinischem będą oczekiwali na naszą delegację. Więc trzymajmy się mocno — powiedziałem wtedy, a pomyślałem sobie — „Dziś jeszcze Heniu pryskać tobie do chaty" — i smutno zrobiło mi się na duszy, więc chycnąłem na kojko i udałem kimę.

A kiedy nadpłynął mrok i kilka naszych wyszło wachtować z rurami na ramieniu — ja łaps za harmonię i dawaj z kojka prosto do drzwi, a ślusarz wąchała za mną:

— Heniu, dokąd to? Leż, wypoczywaj, bo jutro pójdziesz w delegaty. Więc ja na to:

— Wszystko w porządku. Ja tylko Reinischowi przed snem chcę zaiwanić jedną jedyną zwrotkę, by zapamiętał nasz strajk przed Wielkanocą — i wyszedłem z baraku.

Mrok, chłodno, a w oknach pałacyku światła. Nasi skuleni krążą z rurami po podwórku, a ja wolno, wolno, niby to nic, zasuwam prosto do portierni i nagle w ciszy jak nie rąbnie to moje harmonisko, a ja za nią:

„Nie ulituje się nad nami
Ni król, ni klecha, pan i kat
Musimy się wyzwolić sami
Wprowadzić sprawiedliwy ład"...

Idę tak, śpiewam i gram i nagle żal mi się zrobiło moich umęczonych współtowarzyszy i tego mrocznego baraku w którym przez tyle dni w chłodzie i o głodzie... i łzy napłynęły mi do oczu, ale w tej chwili poczułem w dłoni żelazną klamkę, więc szarpnąłem drzwi portierni i machnąwszy tylko ręką Cianciarze, wyskoczyłem czym prędzej na ulicę.

„No, co oni tam będą o mnie gadali" — pomyślałem sobie idąc ulicą oświetloną gazowymi latarniami — to pies by zdechł gdyby powąchał... A niech gadają, grunt, że jestem w porządku.

Jeszcze przed zamknięciem bram byłem już w domu. Drzwi otworzyła mi żona, w koszuli, bo akurat ułożyła się z małym Olesiem w łóżku. Ujrzawszy mnie krzyknęła uradowana.

— Heniu! Nareszcie po strajku. Siadaj, gadaj, a ja ci tymczasem herbaty — rzępoliła krzątając się przy żelaznej kanonce.

Westchnąłem więc, zebrałem się na odwagę i cedzę:

— Ano, po strajku. Tylko, że ja już więcej nie trafię do budy Reinischa.

— A przez co? — zapytała wystraszona i znieruchomiała.

— Jak to przez co? — przez harmonię uważasz...

— Przez harmonię?

— Przez.

— Przez tę naszą harmonię?

— Przez.

— A co ona jemu? Gadaj no Henio.

— I tobie by się sprzykrzyło — klarowałem — gdyby ci tak ktoś przez kilka dni na całe miechy od rana do późnego wieczora targał nerwy, że ani spać, ani pracować w gabinecie... i to prawie same tylko „Sztandary" — „Barykady", „Warszawianki". — Powiedz, nie rwała by cię cholera? Weronciu? To też stary uwziął się na mnie...

— Więc co teraz będzie z nami? pytała płaczliwie. W domu ani grosza, a w sklepiku borgować już nie chcą...

— Przecież jestem robotnikiem wykwalifikowanym — pocieszałem ją wtedy — i nie jedna tylko buda Reinischa jest w Łodzi. Dam sobie radę. Uspokój się...

— O, Boże, Boże! Po co ja ci to granie do baraku przyniosłam — biadoliła, człapiąc po mieszkaniu i nagle jak nie ryknie...

— Ja to cholerne pudło w drebiazgi!... i draps za harmonię. Ledwie wyrwałem jej z rąk. Myślałem, że już po instrumencie. Uspokoiłem jednak starą i zasnęliśmy dopiero nad ranem.

Przez dwa dni chodziłem jak oszołomiony, bo stara nic innego, tylko w kółko o tej harmonii, harmonii i o harmonii... Więc urywałem się z chaty i dopiero późnymi wieczorami powracałem.

Pamiętam — jakoś na trzeci dzień gdy w poszukiwaniu pracy wróciłem z miasta i siadłem umęczony na łóżku — otwierają się drzwi i patrzę, kto wchodzi? — Ślusarz wąchała i z miejsca poklepuje mnie po ramieniu...

Zbieraj się bracie. Jutro do roboty.

Podskoczyłem z kojka, kobieta w bek, a wąchała dalej:

— Nie i nie — upierał się stary. Umowa powiada — topsze, stawka — rychtyk, ale ten wasz harmonia — nigdy, przenigdy!

Prosiliśmy, błagaliśmy, poparł nas nawet inspektor, lecz Reinisch nie, tylko w kółko, nie nie i nie!... Dopiero jak zagroziliśmy przedłużeniem strajku — stopniał.

Miło dziś wspominać tego wąchalę. Postawił nawet wtedy ćwiartkę z zagrychą. Nie ma co, był to swój chłop.

A działo się to wszystko, jak już wspomniałem w trzydziestym trzecim, przed świętami Wielkiejnocy. Wycierpieliśmy wtedy, że nie daj Boże, ale nikt się z nas nie załamał, bo wierzyliśmy w zwycięstwo i sprawiedliwość. A podnosiła nas na duchu pieśń bojowa przy dźwiękach muzyki. Tak, przy dźwiękach muzyki. A dzisiaj, ta moja stara magnifika każe mi opylić ten zasłużony muzyczny instrument. Tę naszą strajkującą harmonię. O, co to, to nie. Nie i nie i jeszcze raz nie! Za żadne skarby świata. Niech leży sobie pod łóżkiem, aż nasz Oleś podrośnie.

Z tomu pt. „Dzielnica plebejuszów", przygotow. dla „Wydawn. Łódzkiego".

Fot. J. Książek

WŁODZIMIERZ MENTCEL *„Strach na ludzi"*

VACYS REIMERIS *)

* ☆ *

Dzień cicho blednie nad brzegów milczeniem,
Tylko uciszać się nie umie morze.
W łomocie fali, w pian wściekłym furorze
Czujesz, jak piersi ci dławi westchnienie.

Złocisty chodnik wnet rozpostrą zorze,
By słońce zeszło w podwodne sklepienie.
Powiało chłodem, spadły pierwsze cienie...
Lecz pieśń z żywiołem rozstać się nie może.

Skądże niepokój w sercu? Na cóż czeka?
Czemu się dręczy, że morza łoskoty
Tłumią tak silnie dźwięki głosów zwykłych?

O, któż nadpłynie łabędziem z oddali,
Jak wpierw — by wargi spieczone z tęsknoty
Gnieść pocałunkiem gwałtownym jak przypływ?

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

---

*) Ur. 1921. W czasie wojny ojczyźnianej pracował w redakcjach pism frontowych. Wydał siedem tomów poezji, poświęconych przeżyciom wojennym i wspomnieniom z dzieciństwa. Redaktor naczelny tygodnika literackiego.

ROMAN ŁOBODA

NIEDONOSZONE DZIECKO MIŁOŚCI

Roczny żywot tego, co nazwaliśmy TEATREM PROPOZYCJI, to okres zbyt krótki, by do końca sprawdzić racje, które przyświecały organizatorom i realizatorom eksperymentu.

Cóż to za racje? Jest już dziś truizmem mówienie o tworzeniu bodźców do rozwoju narodowej dramaturgii, której nie można zaliczyć do najtęższych gałęzi rodzimej twórczości.

Niemniej jednak wypada raz jeszcze powtórzyć dobitnie, że bez różnorakich zorganizowanych, konsekwentnych i długofalowo stosowanych tychże bodźców polska dramaturgia nie rozwinie się tak szybko i tak bujnie, jak mogłaby, gdyby o nią odpowiednio zadbano.

Racją jest zatem wszelka działalność zmierzająca do pobudzenia twórczości dramaturgicznej i dania jej zielonego światła w realizacji scenicznej.

Teatr Propozycji, który powstał z inicjatywy SPATiF i Związku Literatów Polskich w Łodzi, miał właśnie spełniać te generalne założenia, chociażby w niewielkim zakresie.

Impreza, która otrzymała dość szumną nazwę Teatr Propozycji, była w istocie „poligonem" dla autorów; mogli oni usłyszeć swą sztukę w rozłożonym na głosy, aktorskim czytaniu, w minimalnej oprawie scenograficznej i dyskretnej reżyserii. Jednorazowe pokazy nie granych jeszcze sztuk obywały się zatem bez kostiumów, dekoracji, itp., a gra aktorów ograniczała się do markowania stanów emocjonalnych, zaś ruchowo do zaznaczania sytuacji.

W ten sposób sztuki prezentowane w Teatrze Propozycji nie mogły czarować wszystkimi urokami pełnej realizacji scenicznej, dawały jednakże — przy minimalnych nakładach finansowych — i autorom i zaproszonym gościom (przeważnie ludziom teatru) więcej niż wizję, bo dość wyraźny zarys utworu na scenie, czego przy żadnym indywidualnym czytaniu osiągnąć nie można.

Nie trzeba tego chyba nikomu „detalicznie" tłumaczyć ilu pomyłek można uniknąć stosując ten system oceny utworu, a zatem ile oszczędzić czasu i pieniędzy zajmując się poszukiwaniami współczesnych polskich utworów dramatycznych.

Należy w tym miejscu wyrazić żal z powodu zbyt małego zainteresowania pokazem ze strony tych, którzy za repertuar teatrów łódzkich są odpowiedzialni oraz wyrazić obawę, że może organizatorzy nie wszystko przewidzieli, nie o wszystko w tym względzie zadbali. Jeżeli bowiem charakter prezentowanych utworów nie we wszystkich wypadkach odpowiadał założeniom pokazów i materia utworów nie zawsze dostatecznie prowokowała do zasadniczych rozważań, to oczywiście wypływa z tego wniosek, że należało albo poszerzyć zakres bazy autorskiej, to znaczy wyjść w „Polskę" w poszukiwaniu tekstów, albo rezygnować z regularności pokazów.

Po przeszło rocznej praktyce nasuwa się ta myśl, jako jeden z wniosków na przyszłość.

Druga sprawa, to kadra fachowych dyskutantów. Teatr Propozycji nie kończył bowiem prezentacji bez każdorazowej dyskusji na temat wartości artystycznej i ideowej utworu, bez rozważań dotyczących sceniczności dramatu i ewentualnego sposobu wykorzystania dzieła w różnorakich przekazach dramaturgicznych, jak teatr, telewizja, radio itp. Nie zawsze jednak, nawet w przypadku, gdy utwór na to zasługiwał, przybywali na pokaz krytycy i recenzenci oraz praktycy sceny w zespole, który gwarantowałby fachową, wielostronną i postulatywną analizę dzieła.

I tu wniosek następny: należało, czy należy tak wzbogacić formy organizacyjne pokazów, żeby każdorazowo zabezpieczyć im pewne minimum fachowych głosów w dyskusji, ograniczając równocześnie niekiedy przydługie i nie na temat wypowiedzi przypadkowych gości.

Zdając sobie sprawę, że nie wszystko co było treścią pokazów miało dla teatrów wartość jako propozycja na ich sceny — trzeba pamiętać, że każdy napisany na scenę utwór, jest, po takich, czy innych przeróbkach, potencjalnym kandydatem na nią.

Bywa także, że autor nawet nieudanego dzieła, może się stać przy inspiracji i pomocy kompetentnych ludzi — twórcą potrzebnego scenie dramatu, co nazywa się współpracą teatru z autorem.

Teatry w poszukiwaniu współczesnych sztuk polskich sięgają czasami do sztuk debiutanckich, czy nie sprawdzonych jeszcze na scenie, i dobrze, bowiem mogą się poszczycić prapremierami, których mamy zbyt mało. I chyba bezpieczniej sprawdzić taką sztukę na „mini scenie" Teatru Propozycji niż ryzykować klapę artystyczną i finansową. Jeżeli zaś utwór uszedłby uwadze teatrów łódzkich, to jeszcze jest szansa, że łódzka komisja repertuarowa może coś kiedyś zasugerować.

W okresie od 8 kwietnia 1968 r. do 14 kwietnia 1969 r. zaprezentowano w Teatrze Propozycji dziesięć sztuk autorów łódzkich i jedną pozałódzkich, w tym pięć debiutów autorskich. Jedna ze sztuk — „Ja zostaję" Wojciecha Jerzego Wójcika — została wystawiona w teatrze zawodowym w Szczecinie.

Sztuki prezentowano w foyer Małej Sali Teatru Nowego. Prawie zawsze frekwencja przekraczała możliwości przestrzenne foyer.

Sztuki czytali aktorzy wszystkich scen łódzkich, a także TZŁ.

Wszystkie pokazy reżyserował Bohdan Mikuć, dyskusje prowadził niżej podpisany.

Andrzej Grun — *Grafika*

Imprezę finansowali: Wydział Kultury MRN w Łodzi, Woj. Wydział Kultury i Zw. Zaw. Prac. Kultury i Sztuki.

Nakład finansowy włożony w pokaz dziesięciu utworów nie przekroczył sumy siedemdziesięciu tysięcy zł (?), co jest o wiele mniej niż jedna pomyłka repertuarowa.

KOŃCOWA KONKLUZJA

Pomimo wszelkich mankamentów, tej, dorywczo traktowanej i opartej na wąskiej bazie organizacyjnej i finansowej imprezy (praktycznie tylko dwóch ludzi zajmowało się zbieraniem materiału, ocenianiem, konsultacją, rozmowami z autorami, adiustacją oraz niezbędnymi formalnościami, jak: druki, zaproszenia, listy, cenzura, przygotowanie sali itp.) i niezależnie od jej dalszych losów, wydaje się, patrząc przez pryzmat doświadczeń i wynikającego z nich krytycyzmu, że akcja tego typu jest niezmiernie pożyteczna i jedyna w swoim rodzaju.

Rozpatrując zagadnienie nie z jednostkowego punktu widzenia, czy fałszywych ambicji, nieprzeparcie rysuje się wyraźna społeczna potrzeba inicjowania takiego, czy o podobnym charakterze forum dla młodej polskiej dramaturgii, a dobrze, żeby właśnie w Łodzi.

Potrzebne są do tego, prócz jeszcze raz przemyślanych założeń artystycznych, trwałe podstawy organizacyjne, lokalowe i szerszy niż dotychczas zespół ludzi wcielających te założenia w życie.

A i jeszcze, co najważniejsze: troska wszystkich ludzi teatru o to, co jest dobrem najważniejszym sceny — o współczesną narodową dramaturgię.

Być może, że zasygnalizowane wyżej doświadczenia, jakie wyniesiono z biesiad w TP nie są pełne, a może nawet zbyt dyskusyjne. Nie można jednak rezygnować z roli dyskutanta — także, gdyby merytoryczna dyskusja na ten temat doszła do skutku.

JAN HUSZCZA

LEON POETA i KPISARZ

Czy pamiętasz, moja miła, nasze miasto zielone,
siwiejący gotyk wieży, krętych ulic strome wzgórza?
Corso w topól pióropuszach i pachnące w deszczu klony?
Może teraz potrzaskane w kamienicznych leżą gruzach?

Tak w Kazaniu w 1941 roku pisał o Lwowie w wierszu „Ulica Kochanowskiego" uciekinier wojenny, Leon Pasternak.

Szumi dokoła las,
czy to jawa czy sen?
Co ci przypomina,
co ci przypomina
widok znajomy ten?

To znów początek jednej z popularnych piosenek żołnierskich — „Oki", napisanej przez Leona Pasternaka w lipcu 1943 roku tam, gdzie powstawała I DP im. Tadeusza Kościuszki.

Poznałem Leona na początku 1944 roku jako porucznika. Łysy — nikt chyba nie potrafi wyobrazić go sobie innego — golił dokładnie głowę, uśmiechnięty ciepło, oczy jarzące. Niewysoki, ale dający się łatwo zapamiętać. Mówił i pisał o sobie kpisarz, ale zarozumialstwo posuwał czasem do stopnia, budzącego szyderstwo. To szyderstwo rzadko jednak się słyszało, gdyż jednocześnie był człowiekiem bezpośrednim, rozbrajającym w sposobie bycia, uczynnym i koleżeńskim.

Pryncypialny, ale na co dzień w stosunkach z ludźmi wyrozumiały, można było rozmawiać z nim o wszystkim. Wydaje się, że właśnie autentyczna pryncypialność pozwala na zachowanie takich zalet.

W wyzwolonym Lublinie zapragnął oczywiście zostać redaktorem pisma satyrycznego o wymyślonym przez siebie, dobrym tytule „Stańczyk". Motto cieszącego się wielkim wzięciem pisma, które swój żywot zakończyło na piątym numerze, wycofanym ze sprzedaży, brzmiało: „Dobry żart tynfa wart".

I w tamtych przyfrontowych warunkach gdy kraj długo jeszcze miał przypominać rozbite koryto, umiał wydębić papier, znaleźć trochę farby, a zwłaszcza zwołać ludzi. Ponieważ ów „Stańczyk" należy dziś do rzadkości wymieńmy kilku autorów i karykaturzystów: Stanisława Zakrzewska, Henryk Tomaszewski, Karol Baraniecki, Janusz Minkiewicz, St. J. Lec, ma się rozumieć sam Leon, Ignacy Witz, Jerzy Zaruba, Artur Sandauer, Juliusz Krajewski, Józef Wasowski, Jan Sztaudynger. Współpraca z Leonem — redaktorem była i przyjemna i pouczająca. Przedtem i potem najchętniej urzędował w kawiarniach.

W Łodzi Pasternak stał się zdobywcą mieszkań dla literatów — słabego ongi falansteru. Sam zamieszkał na parterze od strony Alei Kościuszki. Tak, na parterze. Któż dziś w tych domach chciałby zamieszkać na parterze z wolnego wyboru? Ale wtedy w okolicy zieleniło się wiele drzew, w krzewach przy pobliskiej Wólczańskiej darły się słowiki, końcowy odcinek Alei porastała murawa, początek Alei — dawna ulica Spacerowa — to był niemal bulwar z ławeczkami. Szkoda, że zniszczono ów bulwar!

Był Leon współredaktorem na nowo powołanych „Szpilek" wespół z Lecem, Mitznerem, Zarubą. Redakcja mieściła się w lokalu, zajmowanym obecnie przez „Odgłosy". Ożywienie panowało wtedy w tym lokalu, zawzięte dyskusje, kłótnie w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Pisał zawsze z trudem, nie był zbyt płodny, a jednak zostawił znaczny dorobek. Przede wszystkim wiersze liryczne i satyryczne, które nieraz bywały stopem, tomik piosenek, sztuki, opowiadania, trochę przekładów z rosyjskiego.

Urodzony w 1910 roku we Lwowie, zaczął od poezji agitacyjnej, społeczno-politycznej — nie zawsze szczęśliwie znajdując dla tendencji wyraz artystyczny. Napisał wiele satyr antyfaszystowskich.

Nadużywa się u nas określenia „satyryk". Często przecież mamy do czynienia, nikomu to nie ubliża, z humorystami. Minkiewicz to na przykład humorysta. Pasternak to właśnie satyryk. W wypadku jego poezji satyrycznej banalne określenie „chłostać biczem satyry" brzmi właściwie.

Właśnie dlatego, że pryncypialny, nie dbał o względy i osoby — wyszydzał wiele ujemnych zjawisk w naszym życiu, celnie uogólniał, można powiedzieć, że antycypował, był gniewny i szyderczy, dosadny i kanciasty, obce mu było beztroskie podrywianie, śmiech dla śmiechu. Większość jego wierszy satyrycznych niestety nie straciła na aktualności.

Ostatnie lata twórczości zaznaczyły się wyraźnym zwrotem w jego poezji lirycznej ku sprawom osobistym, rozterkom, dramatowi ludzkiej egzystencji.

Kochał satyrę i humor oraz jego twórców. Był na satyrę bardziej wyczulony niż na poezję liryczną. Rozumiał ją szeroko. To dlatego zapobiegliwie zbierał materiały do dwutomowej „Polskiej poezji satyrycznej 1919—1949", opracowanej razem z Janem Śpiewakiem. To dlatego doprowadził do wydania wespół ze Zbigniewem Mitznerem dużego tomu poezji satyrycznej „Satyra prawdę mówi... 1918—1939" („Czytelnik", 1963). W tomie tym od najduję zakładkę — list od Leona:

„Prosimy Cię bardzo wyślij nam Twoje utwory z tego okresu... Może też przypomnisz mi inne „utwory wileńskie" z tego okresu?... Autorów zapomnianych? Poszperaj w pamięci, dobrze?"

Jakże inaczej na tym tle wyglądają ci poeci, którzy z powodu antologii „Poezja polska 1914—1939" narzekali, że za dużo w niej nazwisk, choć antologia i tak nieco nazwisk pominęła. Narzekali w kraju, w którym tyle ludzi i spraw tak trudno „ocalić od zapomnienia". W kraju, w którym dotąd nie ma rzetelnie opracowanej, w paru językach wydanej „listy strat kultury polskiej"...

Mógł czasem Leon nie mieć racji, ale któż może we wszystkim mieć rację?! Pisałem o tym z okazji dwudziestego tomu utworów „Smutne ale prawdziwe" („Nowiny literackie", 30. V. 1957), polemizowałem z nim wcześniej na temat odbytej przez niego w sierpniu — grudniu 1946 podróży na Zachód, której owocem był cykl wierszy „Zezem po Europie". Miał rację, gdy z goryczą ubolewał:

Szwendam się po tym świecie,
po Paryżu, Genewie,
widzę: wszyscy tu ważni
— tylko o nas nikt nie wie.

Każdy ludzkość wybawiał
i nadstawiał swe piersi,
ale o nas zapomniał,
że to właśnie my — pierwsi...

Na szerokim tym świecie
Polak — drań, wagabunda,
nasza krew jest tu tańsza
od szklaneczki burgunda...

Nie miał racji, kiedy kpił ze Szwajcarii:

Elektryfikacja! Asenizacja! Wentylacja!
Mistyka!
Informacja, Motoryzacja, Hoteliza cja!
Turystyka!

Dziś myślę jednak, że była w tym po prostu przekora obywatela bohaterskiego, zniszczonego kraju. Jakieś ambiwalentne doznania człowieka, który w dodatku miał za sobą trudną, buntowniczą, więzienną przeszłość.

Przedwcześnie odszedł człowiek rzetelny, bolejący, koleżeński i serdeczny, a jednocześnie zawsze zatroskany o swoją „linię życia". Taki zresztą tytuł nosiły wiersze wybrane, które ukazały się w Łodzi w 1948 roku.

Dwugłos o wiejskim kinie

RYSZARD BINKOWSKI

Sieczka w projektorze czyli kino pod strzechą

Przed trzydziestu laty nie istniał problem wiejskiego kina. Nie było takiego kina. Przedwojenna wieś polska nie znała w ogóle przybytku X muzy. Daleka była droga do miasta, gdzie sieć kinowa prezentowała się zresztą niską liczbą. Drogie były bilety, a wieś biedna. Przeto mieszkaniec wsi nigdy nie stykał się z filmem.

Sytuacja uległa radykalnej zmianie po roku 1945. Po raz pierwszy wieś uzyskała mniej lub bardziej stały kontakt ze sztuką filmową. I już ten sam fakt cieszył przez wiele powojennych lat. Przyjazd kina objazdowego stawał się dla wsi radosnym świętem. Ludzie byli spragnieni kina. Film był pierwszym, głęboko przeżywanym kontaktem z dalekim światem. Odrywał od przyziemnego, powszedniego dnia we własnych zapłociach.

Pamiętam tamte dni. Ryczał potężnie umieszczony pod dachem cegielni głośnik. Wypluwał piętnaście razy pod rząd tę popularną pieśń: „Hej, wy konie, rumaki stalowe". Ludzie szli do tej pieśni, do tego kina. Tłumnie i ochoczo. Nie zważali na warunki odbioru. A filmy wyświetlano na tropie pieca w cegielni. Widzowie stali między rzędami gorących pokryw, które zakrywały otwory wlotowe pieca. Pot, kurz i żar. Ekran wisiał między dwoma stemplami podpierającymi dach. Dzieciaki zachodziły od tyłu tego ekranu. Tam można było równie dobrze oglądać. A były to filmy o braku wody w spółdzielni, o kołchozowej miłości. Ludzie je oglądali. Przeżywali samo zetknięcie z kinem. Jeszcze nie byli wybredni. Jeszcze nie dokonał się ten wielki awans kulturalny wsi.

I otwarła się szeroka droga dostępu do dóbr kulturalnych. Od tego czasu minęło dwadzieścia lat. I wielki awans wzmógł aspiracje kulturalne wsi. Z tego awansu korzystała zwłaszcza młodzież. To należy docenić. Bo jest to jedno z największych osiągnięć rewolucji kulturalnej w Polsce Ludowej.

A co było dalej? Czy rozwój kina zaspokoił wzrastające zainteresowania i wymagania mieszkańców wsi? Wprost przeciwnie! Kino wiejskie bowiem poszło od wzlotu ku upadkowi. Świadczą o tym ankietowe wypowiedzi widzów wiejskich z całej Polski. Z tych wypowiedzi dowiadujemy się o beznadziejności stanu technicznego, poziomie projekcji, warunkach lokalowych i ubóstwie repertuarowym wiejskiego kina. Dotyczy to kin stałych, półstałych i objazdowych.

Obraz jest zły, mały, pozbawiony ostrości, skaczący, a wyświetlany na przypadkowym ekranie. Jeszcze gorzej jest z dźwiękiem. Skrzypi i burczy wyeksploatowana do granic taśma. Warczy roztrzęsiony projektor. Bywa, że operator przywozi aparaturę w deskach żeleźniaka. Operator wraz z furmanem przygotowują tę aparaturę. Z projektora, wzmacniacza i głośnika sypie się siano, sieczka. I nic nie chce grać. Aparatura rozstroiła się w tym rozkolebanym na rozdrożach żeleźniaku. Po dwóch godzinach naprawy odjeżdża furmanka z **kinem** w deskach. Ludzie są zawiedzeni. Klną. Nie bez słuszności. A to jest jeden ze skrajnych, ale dość licznych przypadków.

A gdzie się wyświetla filmy? Ano, gdzie się da. Na korytarzu szkolnym, w remizie strażackiej, w ciasnej salce klubowej. Niekiedy pomieszczenie świeci dziurami. Na ekranie gorąca plaża, a na widowni kożuchy, hulający wiatr ze śniegiem. Ludzie marzną. Brakuje miejsc. Stoją, wyciągają szyje, przeszkadzają sobie wzajemnie.

Wiele do życzenia pozostawia obsługa wiejskiego kina. Operatorzy przyjeżdżają zawsze spóźnieni. Nieraz o dwa dni! Na widzu im nie zależy. Bo taki ciemniak to się nigdzie nie poskarży. A w ogóle niech się chłopy cieszą z tego, co mają, bo drzewiej krowie pod ogon zaglądali, i też było dobrze.

Widz jest nieważny. Ważna jest frekwencja. Dlatego też anonsuje się na przykład „Krzyżaków". Ludzie idą. Rozpoczyna się projekcja. Na ekranie nie ma zapowiedzianego filmu. Są za to „Ludzie bez wody".

W Marysinie, pow. Lublin operatorzy urządzali pod czas projekcji libacje. Pod koniec filmu pod ich czaszkami „urywał się film". Nawet nie miał kto wyłączyć aparatury. I ta ordynarność w stosunku do widzów. Często i z tego powodu ludzie przestają chodzić do kina.

Źle się dzieje, jeśli film, który winien uczyć i wychowywać, dostarcza niezdrowej emocji i deprawuje. A to przez tę kasowość. Aby wypełnić kasę, pracownicy kina nabijają widownię dziećmi. Na filmach dozwolonych od szesnastu lat. Czy przy zetknięciu ze scenami pełnymi erotyzmu mały widz nie utraci szacunku dla dorosłych, którzy sami tworzą takie rzeczy, a jego oszczekują, okłamują? I czy nie wyniknie z tego spaczenie charakteru i poglądu na życie u dziecka?

Wieś odczuwa upośledzenie pod względem repertuarowym. Bo na wsi nie chodzi się na filmy. Na wsi chodzi się do kina. Często przychodzą do danej wsi filmy, które już tu raz lub dwa wyświetlano. A widza nie ma wyboru. Musi oglądać filmy słabe albo bardzo stare. Nowości zdarzają się bardzo rzadko. Najpierw film eksploatuje się w powiatowym miasteczku. Potem ten film krąży po kilka miesięcy, jeśli nie lat, aż do kompletnego zdarcia kopii. Nie dziwmy się przeto, że maleje frekwencja.

Niewątpliwie ważnym problemem w tej materii jest konkurencja telewizji i cena biletów. Jasne, że dla **takiego** kina telewizja musi być konkurentem! Tylko że przyczyna tkwi już nie w samej telewizji. Bo ludzie na wsi nie rezygnują z kina z chwilą zakupienia skrzynki z małym ekranem. Ta konkurencja wynika z niedostatku repertuarowego wiejskiego kina. Widz nie pójdzie na film, który obejrzał w telewizji. A takimi właśnie starociami częstuje go wiejskie kino.

I nie czarujmy się. Spadek frekwencji wcale nie jest związany z ceną biletów. Choć tak prawdę mówiąc, to te cztery, pięć złotych jest ceną wygórowaną, zważywszy warunki techniczne i lokalowe wiejskiego kina.

Ludzi stać na opłacenie biletu, ale chcą wiedzieć, za co płacą. Prawdziwi miłośnicy kina jeżdżą przecież do miasta. Łącznie z przejazdami cena biletu wzrasta u nich czterokrotnie. Ale jadą, bo chcą być w **kinie**. Idzie o ten nastrój. To powolne wygaszanie świateł, ciepło, miękkie fotele, dobry film. I mają rację. Picie szampana nad bajorkiem gnojówki jest przyjemnością wątpliwą.

Za opisany wyżej stan rzeczy nie należy winić wyłącznie pracowników wiejskiego kina. Sprawa dotyczy bowiem i gospodarzy wsi, wiejskich instytucji i organizacji. Bo któż, jak nie oni winni odpowiednio przygotować salę do projekcji? Kto ma odpowiadać za zachowanie się widowni, wśród której zdarzają się elementy chuligańskie, a nawet zalani w trupa stateczni gospodarze. Na widowni są dzieci, ale są tam również rodzice. To ich pedagogicznym obowiązkiem jest niedopuszczanie latorośli do oglądania filmów dla dorosłych.

Aby ocena wiejskiego kina nie wydała się tendencyjna, należy stwierdzić, iż od każdej reguły są odstępstwa. Obiektywne spojrzenie wskazuje na to, że na wsi, jakkolwiek nieliczne, istnieją dobre kina. Wymieńmy tu dla przykładu Turaszówkę w powiecie Krosno. W Domu Kultury mieści się sala kinowa na 600 miejsc, z centralnym ogrzewaniem. Kino jest panoramiczne, posiada projektor 35 mm. Frekwencja imponująca, ponieważ wyświetla się tu dobre, aktualne filmy. Nie liczy się telewizja jako konkurent.

Innym pięknym przykładem niech będzie uruchomione w 1966 roku pierwsze w powiecie, a czwarte w woj. krakowskim kino **społeczne** OSP „Harnasie" w Witowie koło Zakopanego. Powstało dzięki zapałowi i poświęceniu miejscowej OSP, a zwłaszcza sołtysa i naczelnika, który do dziś jest społecznym kinooperatorem. Ludzie są zadowoleni, chociaż ich kino jest trochę pomacoszemu traktowane przez krakowską CWF, która dostarcza często filmy z wielkim opóźnieniem. A to z przyczyny błędnego, odgórnego rozumowania: „Ludzie ze wsi wszystko obejrzą".

Powyższe przykłady, jakkolwiek nieliczne, pozwalają przypuszczać, iż wspólne działanie gospodarzy terenu i kinematografii może przezwyciężyć wszelkie trudności. Bo nie łudźmy się, aby sama kinematografia załatwiła sprawę wiejskiego kina. Przeto wieś na własną rękę, własnym pomysłem musi starać się o stworzenie sobie tego dobrego, prawdziwego kina.

Przy gromadzkich radach narodowych istnieją komisje kultury. W zasięgu ich możliwości leży rozwiązanie niektórych zagadnień. Trzeba tylko z sercem wziąć się do rzetelnej, gospodarskiej roboty.

Działają na wsiach liczne koła ZMW. Ich zadaniem jest domaganie się od gospodarzy danego terenu zajęcia się sprawą kina. Ale młodzi nie powinni się tylko *domagać*. Oni powinni działać. Niech na przykład pilnują kultury i dyscypliny podczas seansów. Myślę, że taka młodzieżowa służba porządkowa powinna zdać egzamin.

Sprawa jest więc do rozwiązania. Wymaga wszelako, co jeszcze raz trzeba podkreślić, wspólnego wysiłku. A takie wspólne działanie trzeba koniecznie podjąć. Inaczej nie wykorzystamy tej szansy, jaką dają uchwały V Zjazdu Partii. Te uchwały mówią o konieczności podniesienia na wyżyny polskiego filmu. Ale nie tylko. W uchwałach postuluje się utrzymanie należnej rangi naszej kinematografii. To zobowiązuje. Musimy wykorzystać tę szansę.

IWONA KOWALSKA

A MOŻE BY TAK DO KINA?

O tym, że film jest elementem kultury współczesnego społeczeństwa nie tylko w mieście ale i na wsi — nie trzeba nikogo przekonywać. Elementem ważnym. Właśnie szczególnie w środowisku wiejskim, gdzie jest często jedynym sposobem rozrywki i masowym narzędziem kształtowania postaw, gustów, poglądów. Prawdy te, tak zdawałoby się oczywiste, są jednak niedostatecznie doceniane. Generalnie rzecz biorąc widz wiejski traktowany jest jak ów przysłowiowy ubogi krewny z prowincji. Nie dba się o jego edukację filmową, o wypracowywanie w nim nawyku chodzenia do kina. Istnieje zdecydowany brak placówek, które potęgowałyby zainteresowanie kinem na wsi, rozbudzały apetyty filmowe i pomagały w kształtowaniu krytycznej postawy wobec dzieła filmowego.

Nie dajmy się zwieść statystyce, która mówi o otwieraniu nowych kin na wsiach. Za tymi pozornie optymistycznymi wieściami, kryją się nader pesymistyczne usposabiające sprawy związane z szerzeniem kultury filmowej w terenie.

Otóż kino na niejednej wsi po prostu jest. I to najczęściej puste. Ich kierownicy stan ten kwitują notatką: „film nie był wyświetlany z braku widzów". I kino dalej jest. Statystycy radują się wykazami. Widzowie nie mają nawet tej satysfakcji. Po prostu kin ze statystyki nie chcą uznać. I trudno się dziwić. Są le najczęściej obskurne, zimą słabo ogrzewane, twarde ławy, migający obraz, zrywająca się taśma, często prowizoryczny ekran, o przyjemnej poczekalni można tylko marzyć.

Repertuar? Ten z pewnością niejednego widza na wsi raz na zawsze zraził do kina. Wystarczy, by łaknący rozrywki, nie przygotowany do odbioru trudniejszego filmu wiejski widz po kolei obejrzał „Wieczny kalendarz", „Barierę", „Gorzkie życie", „Salto", „Zjazd rodzinny" czy „Śmierć biurokraty". Bo właśnie te filmy skopiowane zostały na taśmę 16 mm, której aparaturą dysponują kina wiejskie. Sprawa trochę dziwna. W dużych miastach, o wyrobionej widowni filmy te nie miały większego powodzenia — to czego oczekiwano po ich rozpowszechnianiu na wsi? Chyba antyreklama dla kina. Bo filmy te, nie poprzedzone przygotowaniem do ich odbioru, są taką właśnie antyreklamą.

I znów nasuwa się pytanie. Dlaczego z wielkiej biblioteki filmowej oferuje się widzowi na wsi takie pozycje, które tylko w niewielkim stopniu mogą liczyć na uznanie i popularność? Tytuły podobnych filmów, które trafiają do wielokrotnie. Trudniej natomiast byłoby wymienić, tak jednym tchem, filmy, na które widz wiejski czeka i otrzymuje. Dodajmy, że widz na wsi jest w sytuacji przymusowej. Nie może wybierać filmu. Jeśli ma ochotę na spędzenie wieczoru w kinie to jest skazany na oglądanie filmu, który wyświetla jedyne kino. A przecież chyba trzeba zgodzić się co do tego, że maksimum przyjemnych wzruszeń i doznań z oglądanego filmu, z kontaktu ze sztuką winno być przywilejem każdego widza, niezależnie od tego, ile kilometrów dzieli go od kin stolicy czy Łodzi.

Istnieją jeszcze miejscowości, których mieszkańcy w ogóle nie oglądają filmów — z tej prostej przyczyny, że w ich wioskach nie ma kina, ruchome też nie dociera. Zresztą kino ruchome radykalnie sprawy nie załatwia. Przeciętnie, do danej miejscowości, objętej planem jego pracy, dociera tylko raz w miesiącu.

Niebagatelnym problemem w pracy kin wiejskich jest sprawa personelu. Na ogół kinami tymi kierują ludzie przypadkowi, tylko w niewielkim stopniu przygotowani do pracy reklamowo-propagandowej, nie potrafiący zainteresować właściwie kinem, nie umiejący wytworzyć w nim atmosfery przyjemnego miejsca spotkań. Także coraz bardziej doceniana w mieście reklama filmowa, w terenie jest w dalszym ciągu na bardzo prymitywnym etapie. Opinie sąsiadów, zwykłe afisze z niezgrabnie a nieraz i błędnie wypisanym tytułem filmu trudno chyba uznać za atrakcyjną, pełną i właściwą formę zainteresowania i informacji o filmie. Na wieś nie wysyła się nawet oryginalnych plakatów — a przecież kolorowy, estetycznie zaprojektowany przez plastyka plakat na pewno na wsi zwracałby większą uwagę niż w mieście, gdzie ginie nie tylko w powodzi innych informacji, ale i pozostałych form reklamy filmowej. Tak więc w tej sytuacji trudno jest mówić o kulturotwórczej roli kina w środowisku wiejskim, o jego dużej roli w upowszechnianiu tych treści, na których z punktu widzenia polityki kulturalnej zależy nam najbardziej.

Sprawa z pewnością nie jest prosta. Węzeł trudności, stojących na przeszkodzie do zmian na lepsze, zasupłany jest solidnie. A u jego podstaw znajduje się już niejednokrotnie porusza na na łamach prasy sprawa wyposażenia techniczne go kin wiejskich, które, niestety, do tej pory są pod tym względem w epoce króla Cwieczka. Nowoczesna technika na wsi musi trafić także i do kin. Bo właśnie rodzaj aparatury projekcyjnej determinuje repertuar filmowy, ten określa rodzaj i jakość rozrywki co z kolei determinuje frekwencję. Implikacje można mnożyć.

Tak więc niezbędne są szybkie decyzje. W przeciwnym wypadku deficyt będzie wzrastał i to nie tylko w kasach tych kin, ale i na koncie kulturalnym środowiska wiejskiego.

O te, nie dające się ująć w cyfry, niewymierne wartości naprawdę opłaci się zabiegać.

„Q" — inaczej konflikt czasu

Przed dziesięciu laty pierwszy w polskim przemyśle znak jakości otrzymały Zakłady Przemysłu Spożywczego „Społem" w Krakowie za wysoką jakość makaronu. Historyczna już „jedynka" ozdabia do dziś krakowski makaron, ale nie jest to hołd dla tradycji tylko wysokie uznanie dla dobrej jego jakości. W ostatnim dniu września 1969 roku 848 producentów miało prawo oznaczać „jedynkami" lub „Q" 10.035 wyrobów o wartości 48,3 mld zł. z tym, że do znaku najwyższej jakości, oznaczającej standard światowy miało prawo niespełna 200 wyrobów.

Polski znak jakości powstał przed dziesięciu laty. Rada Ministrów podjęła 8 listopada 1958 roku uchwałę, na mocy której można było „1" lub „Q" oznaczać wyroby przemysłu krajowego. W czerwcu 1966 roku powstał **Centralny Urząd Jakości i Miar**, pod egidą którego działalność rozpoczęło **Biuro Znaku Jakości.** W następnym roku dokonano nowelizacji ustaw, wprowadzając jednocześnie bodźce ekonomiczne dla producentów towarów oznaczonych znakiem jakości.

Nie jesteśmy jedynymi, którzy tak postępują. Znak jakości stosują u siebie **Czechosłowacja, NRD, Węgry i ZSRR.** W krajach kapitalistycznych znak jakości wprowadziły: **Anglia, Austria, Belgia, Francja, Holandia, Indie, NRF, Portugalia i USA.** Podstawą jego przyznawania jest wszędzie obiektywna ocena produktu dokonywana niezależnie od producenta.

KONFLIKT WSPÓŁCZESNOŚCI

Na początku ostatniego 25-lecia nie zwracano zbytniej uwagi na sprawy jakości. Wtedy wystarczającym powodem do radości i dumy był sam fakt rozpoczęcia produkcji. Cieszył pierwszy z odbudowanej fabryki traktor, pierwszy samochód, zbudowany w stoczni statek, pierwszy motocykl, skuter, lodówka, pralka czy telewizor. Przed krajowym przemysłem stało wtedy zadanie zaspokojenia rosnących potrzeb społeczeństwa. Jakie produkowano wyroby — tym na razie nikt się nie martwił.

Przysłowie głosi, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy na rynku zjawiało się coraz więcej artykułów, które nie były już pierwszymi, zaczęły pojawiać się pierwsze jakościowe kłopoty. Ze szpalt gazet zniknęły nazwiska przodowników pracy, którzy wyrabiają setki procent normy, a ich miejsce zajęli ludzie, którzy starali się nie wypuścić braku. W ruchu współzawodnictwa pracy zmianie uległy kryteria. Zaczęła decydować nie ilość produkcji, ale jej jakość. Tego domagał się rynek, ale istniejący w przedsiębiorstwach system bodźców nie sprzyjał jeszcze takiemu ukierunkowaniu działania.

„Prezes CUJiM może nałożyć na producentów obowiązek zgłaszania do oceny i oznaczania znakami jakości niektórych wyrobów..." — coś z tego konfliktu przedostało się nawet do uchwały RM z 10 marca 1967 r. Wprawdzie sprawy jakości zaczęły odgrywać coraz większą rolę w życiu gospodarczym, ale wiele jeszcze starych nawyków pozostało w mocy. Nieprzypadkiem uznano, że przyznawanie znaku jakości powinno być **programowane.**

KIEDY PREZES MÓWI „NIE"

Nie mówi tego osobiście, gdzieżby miał na to czas, ale negatywną odpowiedź daje urząd, którym kieruje. Biuro Znaku Jakości, miało w pierwszym półroczu tego roku ocenić **6.707 wyrobów.** Taki był program. Faktycznie otrzymało do oceny 5.586 wyrobów i z ubiegłego roku pozostało do oceny 1.260 wyrobów. **Znak jakości przyznano 4.141 wyrobom, a „nie" powiedziano producentom 1.151 wyrobów.**

Oceny dokonuje Biuro Znaku Jakości, współpracując w tym z 12 instytucjami. Wśród nich jest **Centralne Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego i Pończoszniczego.** Na zlecenie BZJ i pozostałych 12 instytucji prace badawcze prowadzą poszczególne centralne laboratoria. Na przemysł elektrotechniczny nałożono obowiązek przedstawia

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

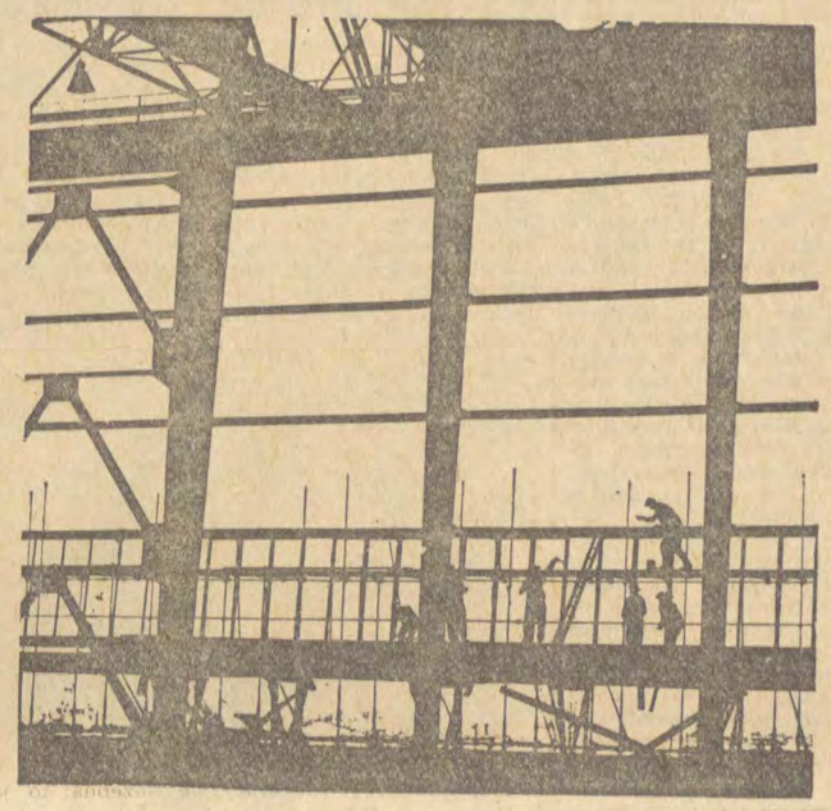

nia do oceny wszystkich produkowanych wyrobów powszechnego użytku, jak np. pralki, odkurzacze, lodówki, miksery, kuchenki, kuchnie, żelazka, zapalniczki, żarówki i inne. Podobne zobowiązania nałożono na przemysł produkujący urządzenia dla gazownictwa. Obowiązku takiego nie ma natomiast przemysł motoryzacyjny, chemiczny, ceramiczny i lekki. Co w tym ostatnim przypadku nie powinno nikogo dziwić, zważywszy stan parku maszynowego w wielu zakładach przemysłu włókienniczego.

W przemyśle lekkim najlepszą pozycję zajmuje przemysł bawełniany. Wprawdzie na 64 wyroby zgłoszone do orzeczenia w pierwszym półroczu tego roku 20 otrzymało ocenę negatywną, ale przemysł bawełniany stale zgłasza do oceny więcej wyrobów niż zakłada to jego program. Inaczej już sprawa wygląda w dziewiarstwie i pończosznictwie, gdzie program zakładał zgłoszenie 282 wyrobów, a zgłoszono... 122. Dwadzieścia sześć z nich otrzymało ocenę negatywną. Również w przemyśle odzieżowym daleko jeszcze do pełnej realizacji programu. Założono, że w pierwszym półroczu 1969 r. wpłynie do oceny 326 wyrobów, wpłynęło 156, z tego 22 otrzymało orzeczenia negatywne. Niezgodność z programem nie jest jednak tylko „przywilejem" przemysłu lekkiego. W przemyśle chemicznym niewiele ponad 20 proc. wyrobów podlegających oznaczeniu posiada znak jakości. Uznano np., że 119 rodzajów mydeł toaletowych powinno mieć znak, a rzeczywiście posiada go... 16. W przemyśle meblarskim znakiem jakości może wylegitymować się tylko 2 proc. produkcji.

KONFLIKTU WSPÓŁCZESNOŚCI CIĄG DALSZY

„Producent wyrobu, na który przyznane zostało prawo do oznaczania znakiem jakości — głosi § 9 uchwały RM z 10 marca 1969 roku — **obowiązany jest zapewnić jakość tego wyrobu w bieżącej produkcji zgodną z wymaganiami określonymi dla tego wyrobu w zezwoleniu na oznaczenie go znakiem jakości".**

Pracownicy kontroli technicznej w Rybnickich Zakładach Wyrobów Metalowych, tylko niektóre egzemplarze oznaczają znakiem jakości. Okazało się bowiem, że przedsiębiorstwo zdołało wyprodukować dobre naczynia kuchenne, ale nie potrafiło zapewnić warunków technicznych dla seryjnej ich produkcji. I tylko uczciwość kontroli technicznej nie dopuściła do pełnej kompromitacji.

W pierwszym półroczu 1969 roku dokonano oceny 3.068 wyrobów posiadających znak jakości. Cofnięto go 8 producentom na 32 wyroby. Odebrano prawo oznaczania „1" Rybnickim ZWM, Myszkowskiej Fabryce Naczyń Emaliowanych, Chemicznej Spółdzielni Pracy „Technochemia" z Gliwic, Zakładom Przemysłu Cukierniczego „Wawel" z Krakowa, Zakładom Mięsnym z Chojnic, Południowym ZPS „Chełmek", Zakładom Wytwórczym Lamp Elektrycznych im. R. Luksemburg z Warszawy, Pilskiej Fabryce Żarówek „Lumen" oraz prawo oznaczania znakiem kontrolnym „KWE" Zakładom Sprzętu Instalacyjnego ze Szczecinka... Producenci lodówek otrzymali ostrzeżenie.

Zobowiązanie do dawania na rynek dobrej produkcji, jakie się podejmuje w chwili przyznawania prawa do oznaczania wyrobu znakiem jakości jest tylko zobowiązaniem, a wiadomo, że teraz wszystko zależy od kontroli technicznej. Nie jest też tajemnicą, że poziom kontroli technicznej w wielu przedsiębiorstwach pozostawia wiele do życzenia. W tej sytuacji systematyczna kontrola jakości wyrobów oznaczonych „1" lub „Q" jest niezbędna. Biuro Znaku Jakości lub inna instytucja, która kontroluje na jego polecenie może w wypadku stwierdzonego uchybienia dać producentowi ostrzeżenie, zwiększyć częstotliwość kontrolnych badań lub odebrać prawo oznaczania znakiem jakości. Znak ten zresztą przyznaje się na rok lub dwa i po upływie tego czasu producent musi wystąpić z wnioskiem o ponowne nadanie prawa do oznaczania.

Ludzie z działów „KT" muszą rozstrzygać podstawowy konflikt między uczciwym wykonywaniem obowiązku a lojalnością wobec administracji. Plan produkcji wykonuje się mimo wszystkich trudności, a dla premii — czyli partykularnego interesu przedsiębiorstwa — przymyka się oczy na interes ogólniejszy. Wynika to nie tylko z administracyjnego nakazu. Przyczyny leżą w roli, jaką pełni „KT" — kontrola techniczna i jaką nadała mu tradycyjna struktura przedsiębiorstwa, którą kształtowały warunki nie zaspokojonego popytu w czasach, kiedy przede wszystkim liczyła się ilość.

Obecnie stosuje się bierny system kontroli technicznej. Polega on na wartościowaniu wyrobów na dobre i złe. Coraz śmielsze i powszechniejsze stosowanie systemów pracy bezbrakowej — u nas metody „Doro" — wyraźnie wskazuje, że bierność kontroli technicznej przestała odpowiadać we współczesnych warunkach.

SĄ TAKIE PROPOZYCJE

Swego czasu myślano, że wystarczy zmienić system podporządkowania „KT", a zło zniknie automatycznie. Dziś inaczej patrzy się na ten problem. Zło leży raczej w biernym i partykularnym traktowaniu wyrobu przez „KT". Ludzi „KT" interesuje tylko klasyfikowanie gotowego już produktu. Jego prototypy, surowce, proces powstawania później magazynowania, transport i eksploatacja znajdowały się i znajdują poza sferą zainteresowania.

Odeszło się więc obecnie od sporu na temat podporządkowania „KT" kierownictwu zakładu, choć nie ulega żadnej wątpliwości, że „KT" powinna podlegać bezpośrednio naczelnemu dyrektorowi przedsiębiorstwa. Po drugie — mówi się obecnie o potrzebie zmiany istoty działania komórki kontrolnej. Wyraża się to w zmianie nazwy.

Zamiast kontroli technicznej — „KT" — będzie kontrola jakości — „KJ". Podstawą jej działania będzie szeroko stosowana samokontrola przez każdego pracującego.

Najważniejsze jednak jest to, że kontrola jakości zaczyna się już w fazie przygotowania surowców, a także prototypów. Kontrolą jakości proponuje się objąć cały proces tworzenia, a następnie warunki magazynowania, transportu i eksploatacji, czyli to, co do tej pory uchodziło z pola widzenia „KT".

Czy te zmiany wpłyną decydująco na poprawę jakości? Czy to wyeliminuje niechlubne przypadki odbierania prawa do oznaczania produkowanego wyrobu „1" lub „Q"? Czy nie będzie nadal administracyjnego nacisku, jeśli „KJ" pozostanie w zasięgu działania dyrektora?

Wiele jest czynników decydujących o jakości produkcji. Jednym z nich jest system kontroli. Innym — równie ważnym — system bodźców. W tej dziedzinie zrobiono sporo. Warunkiem dobrej produkcji jest dobre współdziałanie wszystkich tych elementów. Aktywna kontrola jakości powinna przyczynić się do zgodnego ich stosowania. A czy dyrektor nie będzie chciał „naciskać" na pracowników kontroli jakości, aby byli bardziej liberalni? Pokaże to praktyka. Proponuje się jednak, aby nominację na kierownika działu „KJ" nadawało zjednoczenie. Ma to przeciwdziałać ewentualnym konfliktom. Gdzież ich bowiem nie ma. Są znamieniem postępującego czasu i skostniałych schematów, w jakich przychodzi nam działać.

Z wolaja

ODWAGA

W jednym z pism sportowych przeczytałem ostatnio ciekawą informację. Otóż, reprezentacyjny stoper piłkarskiej jedenastki Anglii, Jackie Charlton i jego młodszy brat, również piłkarz – Gordon, w czasie wycieczki motorówkami spostrzegli dwie łódki z dziećmi, unoszone przez porywisty wiatr na pełne morze. Natychmiast jeden z braci pośpieszył na pomoc dzieciom, natomiast drugi udał się w stronę brzegu po posiłki. Życie dziesięciorga dzieci i ich nauczyciela zostało uratowane.

A więc mieliśmy do czynienia z pewnym aktem odwagi, wykazanej przez sportowców tym razem w ich życiu prywatnym. Najczęściej jednak spotykamy się z odwagą w sporcie właśnie na torze, ringu, trampolinie czy skoczni, gdyż właśnie tam zawodnicy przezwyciężają instynktowny strach, nieobcy każdemu człowiekowi. Nie może bowiem wyczynowo uprawiać sportu człowiek mało odważny, bojący się kontuzji, w wielu wypadkach narażania życia. Przy obecnym rozwoju sportu zawodnicy są coraz lepiej przygotowani do uprawianych przez siebie konkurencji i wielokrotnie o zwycięstwie decydują nie większe umiejętności, ale właśnie odwaga. Dotyczy to oczywiście nie wszystkich dyscyplin, a tylko takich jak żużel, skoki do wody, skoki narciarskie, wyścigi motocyklowe, czy samochodowe. Tutaj zawodnicy ryzykują nie tylko zdrowiem, ale i życiem. Obliczono, że w ciągu sezonu na torach żużlowych świata ginie jeden zawodnik, zimą w NRD po niefortunnym skoku zmarł młody zakopiańczyk Kwak, zginął saneczkarz Paczka. Mnożą się wypadki śmiertelne w kolarstwie. Tymczasem wymagania rosną, przekraczają dopuszczalne granice bezpieczeństwa. Buduje się skocznie narciarskie zwane „mamucimi", o progach 150 m, gdzie w tzw. lotach osiąga się odległości ponad 150-metrowe. A taki chociażby skok o tyczce, gdzie rekord świata wynosi 5,44 m. Co dziwniejsze zawodnicy uprawiający te dyscypliny sportu jakby nie zdawali sobie sprawy ze swej odwagi, traktują to jak coś naturalnego. Nie znaczy to jednak wcale, że się nie boją, ale wierzą w swoje umiejętności i wysoki stopień wytrenowania. Co prawda z reguły zawodnicy młodsi odwagą usiłują nadrobić brak doświadczenia, co czasami kończy się nie najlepiej. Np. żużlowcy starsi nie lubią startować z młodszymi kolegami właśnie z podanych wyżej powodów.

Hart i odwaga zdobyta w czasie uprawiania sportu wywiera piętno na życie pozasportowe zawodnika. Historia zna wiele przypadków przełamywania przez sportowców poważnych chorób czy kontuzji, których leczenie normalnym śmiertelnikom zajęłoby wiele miesięcy. Powszechnie znana jest piękna postawa polskiego trójskoczka Józefa Szmidta, który po miesiącach pobytu w szpitalu, z powodu stale odnawiającej się kontuzji nogi, nie wyleczony jeszcze zupełnie pojechał na Olimpiadę do Tokio, gdzie zdobył złoty medal. A amerykański średniodystansowiec, Jim Ryun, jeszcze na trzy miesiące przed Olimpiadą w Meksyku ciężko chory na białaczkę, zdobył tam srebrny medal w biegu na 1500 m.

Temat do tego felietonu nie nasunął mi się po przeczytaniu notatki o pięknym czynie braci Charltonów, a kilka miesięcy wcześniej. Spotkałem się bowiem z przypadkiem odwagi młodego sportowca, który to przypadek trudno zaliczyć do jednego z podanych wyżej przykładów.

Miało to miejsce w czasie ostatniego Małego Wyścigu Pokoju, organizowanego corocznie dla młodych kolarzy, nie należących jeszcze do żadnego klubu, dla których wynik w tej imprezie jest swego rodzaju wizytówką do dalszej kariery sportowej. Stałem akurat na starcie do I etapu. Młodzi kolarze prezentowali się pięknie. Śliczne wyścigowe rowery, efektowne kostiumy, wszystko błyszczało niklem i uderzało barwą. W pewnym momencie grupa kolarzy zaczęła się śmiać. Poszedłem za wzrokiem rozbawionych zawodników. Do stolika komisji sędziowskiej podjeżdżał właśnie kolarz – niekolarz, ubrany w przyciasną marynareczkę z wytartymi łokciami, na starej „damce" z urwanym jednym pedałem, z którego pozostał jedynie bolec. Stan pojazdu wyraźnie świadczył, że zasłużył już na wypoczynek, po długim i pracowitym żywocie. Nasz bohater spokojnie odebrał numer startowy i stanął wśród błyszczących „Jaguarów" i „Huraganów". Śmiech powoli ucichł, starter dał znak do rozpoczęcia wyścigu. Kolarz na „damce" zajął na tym etapie ostatnie miejsce. Na drugim etapie, indywidualnym na czas, jechałem kilka kilometrów za tym zawodnikiem. Widziałem łzy w jego oczach, kiedy mijali go dysponujący przecież świetnym sprzętem przeciwnicy, widziałem jego upór i chęć walki. I nie był ostatni. Zajął przedostatnie miejsce, pokonał jednego przeciwnika. Na starcie trzeciego etapu już nie stanął, podejrzewam, że „damka" nie wytrzymała trudów wyścigu.

To był odważny sportowiec.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

Sztuka przez duże „S"

Obchodzona ostatnio Dekada Kultury Rosyjskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, obejmująca wszystkie dziedziny kultury, stała się w naszym kraju prawdziwym świętem artystycznym. I to nie tylko dzięki wielkiej różnorodności i bogactwu imprez, ale także i przede wszystkim dzięki ich wysokiemu poziomowi. Poza dziedziną filmu najbogaciej chyba reprezentowana była muzyka we wszystkich formach. Na estradach i scenach muzycznych kraju spotykaliśmy się z zespołami i solistami zawodowymi i amatorskimi. Z artystami, których znaliśmy dawniej, i których gościliśmy po raz pierwszy.

Łodzi przypadły w udziale trzy imprezy: koncert Filharmonii Leningradzkiej pod dyrekcją Eugeniusza Mrawińskiego, Wieczór Baletowy z udziałem solistów radzieckich i występ Krasnojarskiego Zespołu Tańca Narodów Syberii.

Orkiestra Filharmonii Leningradzkiej, najstarsza orkiestra symfoniczna Związku Radzieckiego (istnieje od 1882 roku) odznaczona m. in. tytułem Zasłużonego Zespołu RFSRR i Orderem Czerwonego Sztandaru za zasługi w krzewieniu kultury muzycznej, jest dziś jednym z czołowych zespołów tego typu w świecie. Kieruje nią nieprzerwanie od 31 lat Eugeniusz Mrawiński, światowej sławy dyrygent, Ludowy Artysta ZSRR, laureat Nagrody Leninowskiej. I dziś trudno byłoby już wyobrazić sobie rozdzielenie tych dwóch znakomicie zgranych czynników — wielkiej klasy indywidualności artystycznej dyrygenta i ukształtowanego przez niego zespołu, w którym wielu wykonawców jest dużej miary solistami. Ta ogromna, ponad stuosobowa orkiestra jest na pewno zdolna do znakomitych wykonań pod każdą batutą, Eugeniusz Mrawiński jest jednak duszą tego zespołu. Dla wzajemnego porozumienia się wystarczy jeden drobny gest, jedno skinienie ręką dyrygenta. Zapewne to zamiłowania tego artysty skierowały orkiestrę leningradzką przede wszystkim na wykonania monumentalnych dzieł symfonicznych o bogatym brzmieniu, wspaniałej dynamice. Ich interpretacja w wykonaniu leningradczyków osiąga wyżyny wykonawcze. Tak też ocenić trzeba program łódzkiego wieczoru, podczas którego słuchaliśmy V Symfonii D-dur Aleksandra Głazunowa, i V Symfonii D-moll Dymitra Szostakowicza. To była prawdziwa uczta dla wielbicieli muzyki symfonicznej.

* * *

Bodaj jeszcze większe powodzenie miał w Łodzi Wieczór Baletowy z udziałem solistów radzieckich, który odbył się w Teatrze Wielkim. Zapewne głównym magnesem, który przyciągnął tak tłumnie publiczność było nazwisko Maji Plisieckiej, od ponad 30 lat primabaleriny Teatru Wielkiego w Moskwie. Przybyła do Polski, by wystąpić tylko dwukrotnie w Łodzi i na koncercie finałowym w Warszawie. Występ Plisieckiej trwał zaledwie kilka minut. Tańczyła „Łabędzia" Saint Saensa. Ale jak tańczyła! To były szczyty sztuki tanecznej, mistrzostwo w każdym precyzyjnym, cudownie harmonijnym geście, każdym ruchu. I ręce. Giętkie, falujące, niespokojne, wypowiadające plastycznie całą mękę umierającego łabędzia. Sztuka Plisieckiej to sztuka intelektualna, skupiona, oszczędna, sztuka najwyższej precyzji technicznej. Sztuka przez wielkie „S".

Ale i pozostali wykonawcy reprezentowali wysoki poziom taneczny. Nic dziwnego, słynna w świecie rosyjska szkoła baletowa kształci talenty. I niezmiennie kultywuje tradycje baletu klasycznego w jego najczystszej, najszlachetniejszej postaci. Dowodnie pokazując, że ten rodzaj tańca wcale się nie przeżył, że ma jeszcze wiele do powiedzenia. Jeden z punktów programu — „My" do muzyki Korolowa — rodzajowa scenka baletowa, utrzymana w lekkich współczesnych rytmach muzyki rozrywkowej, wskazuje, że balet klasyczny ma i w tej dziedzinie coś do zaprezentowania.

Program Wieczoru Baletowego obejmował duety ze „Śpiącej Królewny" i „Dziadka do orzechów" Czajkowskiego, z „Giselle" Adamsa, tańce do muzyki Minkusa, Puniego i in. Bardzo podobali się Irina Kołpakowa i Władlen Siemionow, Natalia Biessmiertnowa i Borys Akimow, Nina Sorokina i Jurij Władimirow, a także najmłodsza chyba wśród solistów Ludmiła Siemieniaka. Grała i akompaniowała solistom orkiestra Filharmonii Łódzkiej, dyrygowali: Zasłużony Artysta RFSRR Aleksander Kopyłow i Józef Klimanek.

* * *

I wreszcie występy Krasnojarskiego Zespołu Tańca Narodów Syberii, impreza o innym nieco ciężarze gatunkowym, która jednak bardzo przypadła do gustu publiczności łódzkiej. Syberyjczycy są zespołem amatorskim, stosunkowo młodym, bo działającym od 1960 roku. Mimo to zdążyli zdobyć już popularność we własnej ojczyźnie, a także mają na swym koncie kilka wyjazdów zagranicznych. Nic dziwnego, zespół reprezentuje wysoki poziom techniczny, dobre wykonawstwo, choć nie zawsze na równym poziomie układy choreograficzne. Bogaty repertuar obejmuje stare tańce ludowe narodów Syberii i tańce o treści współczesnej, żart, groteskę, a nawet elementy pantomimy i w tej ostatniej dziedzinie ma kilku utalentowanych wykonawców. I mnóstwo pięknych dziewcząt, które z bisami nie mogły dać sobie rady. Tak samo jak chłopcy w akrobatycznych niemal ewolucjach, które niezmiennie wywoływały burzę oklasków. Jest to zespół pogodny, pełen temperamentu i radości życia, co znajduje wyraz nawet w kolorach strojów ludowych o przewadze błękitnego i różowego. Jest to zespół, który nie tylko bawi publiczność, ale swym tańcem także bawi się sam. Jest to cecha gwarantująca powodzenie u publiczności z jednej strony, a rozwój artystyczny z drugiej.

* * *

Do wielkiej, gigantycznej imprezy jaką były Dni Kultury RFSRR w Polsce włączyły się również i polskie placówki kulturalne, polscy artyści, wykonawcy. I jeśli jesteśmy już przy imprezach muzycznych, to do takich zaliczyć należy koncert Filharmonii Łódzkiej, poświęcony muzyce rosyjskiej, głównie operowej. Pod dyrekcją Arkadiusza Basztonia orkiestra wykonała fragmenty „Oniegina" i „Dziadka do orzechów" Czajkowskiego, „Kniazia Igora" Borodina, Mussorgskiego i in. Jako soliści, w ariach i pieśniach rosyjskich wystąpili soliści Teatru Wielkiego — Teresa May-Czyżowska i Paulos Raptis.

I na zakończenie wyrazić trzeba nadzieję, że artyści radzieccy zadowoleni byli z występów w naszym kraju, i że wobec tego będą tu wracać.

Foto: J. Neugebauer

TV OBIEKTYW

Homo ludens

W stosunku do rozrywki telewizyjnej przeciętnego odbiorcę programu opanowują rozmaite uczucia. Dwa z nich jednak, pozornie tylko sprzeczne, dominują. Pierwsze sprowadzić można by do okrzyku: jeszcze! jeszcze!, który zastąpił dawne wołanie: mało! mało! To uczucie dochodzi do głosu głównie w przerwach między kolejnymi programami rozrywkowymi. Drugie uczucie — niepełnej satysfakcji, czasem przechodzące w zawód, czy nawet rozdrażnienie — przeważa po obejrzeniu kolejnej pozycji rozrywkowej.

O głodzie rozrywki jako typowej postawie współczesnego konsumenta kultury masowej pisze się u nas (i nie u nas) ostatnio bardzo wiele. Ponieważ zaś reakcje na widowiska rozrywkowe są z reguły spontaniczne i żywe, nasi specjaliści w tej dziedzinie mają busolę, która pozwala im się kierować w stronę przewidywanego sukcesu. Można by tu zacytować pytanie retoryczne Jamesa Joyce'a, które sformułował w powieści „Finnegans Wake": „Czy moi konsumenci nie są moimi twórcami?"

Więc — być może — taką otrzymujemy rozrywkę na ekranach telewizyjnych, jakiej chcemy, jakiej się domagamy. W grę wchodzi tylko lepsze lub gorsze odczytanie przez autorów, realizatorów i wykonawców kierunku na busoli. Na przykład srebrne gody „Życia", nadane 19 października z Sali Kongresowej, były przykładem precyzyjnego odczytu. Same sprawdzone gwiazdy, po których wiemy, czego możemy oczekiwać. Ryzyko wyeliminowane.

To co, że infantylną polkę „Ramciamciam" słyszeliśmy już co najmniej sto pięćdziesiąt razy? To co, że Irena Santor powtarza siebie — tak siebie! — taką jaką oglądaliśmy i słyszeli setki razy! To co, że Hanka Bielicka jest jak instrument nastrojony zawsze na jeden ton! To nic, że doskonale wiemy, jaki typ konferansjerki zaprezentuje nam Irena Dziedzic, a jaki Kydryński! Nawet znakomity Sempoliński wie dobrze, czego oczekuje od niego publiczność, więc powiela w nieskończoność typ starego lowelasa i bon vivanta.

Do tego dochodzą sprawdzone chwyty inscenizacyjne i publiczność jest zadowolona. Nuci refren za Kunicką, klaszcze rytmicznie (co jak wiadomo jest wyrazem rezygnacji z indywidualnej reakcji na rzecz zunifikowanej manifestacji i aprobaty), wybucha śmiechem. A zatem wszystko w porządku?

Mam co do tego wątpliwości. Czy homo ludens, człowiek bawiący się (żeby nie powiedzieć: rozrywany), istotnie tylko taki ma zakres aspiracji? Czy w takim razie nie wystarczy powielać w nieskończoność składanki typu zaaportowanej nam na jubileusz „Życia"? Myślę, że w takim stawianiu sprawy kryje się wielkie niebezpieczeństwo.

A „Kariera"? Zapowiadana była od dawna, oczekiwaliśmy jej z emocją z uwagi na sukces poprzednich cykli tej samej spółki autorskiej. „Małżeństwo doskonałe", czy „Poznajmy się" tryskały pomysłowością i humorem. I nareszcie długo oczekiwana sobota 18 października. Czy spełniła nasze oczekiwania? Z pewnością tak! Ale czy to znaczy, że wszystko w porządku?

Tu znowu wątpliwości. „Kariera", mimo zmienionej osnowy, bliźniaczo przypomina swoje starsze siostry, czyli poprzednie programy Gruzy i Fedorowicza. Od nich przejęła szereg wypróbowanych chwytów, jak podkpiwanie z osoby prezesa (sprawozdawca „Życia Warszawy" pisze: „wyimaginowanego prezesa", a mnie się wydaje że i autorzy i publiczność podkładają sobie osobę całkiem konkretną, nie wyimaginowaną, i to dopiero śmieszy!), kontynuacja historii sąsiadów zasiedlających szafę, wspólne ewolucje taneczne Fedorowicza z zawodowymi girlsami (tym razem jedną) itp.

Ponadto Fedorowicz nie gardzi popieraniem się osobami, które swą popularność zdobyły poza prowadzonymi przez niego programami. Taki chyba był cel wciągnięcia do zabawy Ireny Dziedzic, którą trudno traktować jako szeregowego widza. Inna rzecz, że zrobił to Fedorowicz z kunsztem właściwym dla jego błyskotliwej inteligencji.

A jednak chociaż śmiałem się wraz z innymi, oglądając „Karierę", odczuwałem jednocześnie niepokój co do jej przyszłości.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Czasy rewolucyjnych zdarzeń i wojny domowej pozostają w kinematografii radzieckiej nadal jednym z tematów podstawowych, ujmowanych bądź w historycznym i epickim wymiarze, bądź poprzez obrazy losów jednostkowych. „WIRYNEJA" W. Fietina, prezentowana polskiej widowni w ramach Festiwalu Filmów RFSRR, jest przykładem nurtu drugiego.

Film ten zrealizowano na motywach opowiadań Lidii Sejfulliny, której twórczość, a zwłaszcza powieść „Wiryneja", należy dziś do klasyki radzieckiej. O randze tej książki niech świadczy również to, iż jej sceniczna adaptacja weszła na trwałe do repertuaru Teatru im. Wachtangowa, na jej motywach literackich oparł również swą operę kompozytor S. Słonimski. Film Fietina jest zatem kolejną próbą adaptacji powieści, tym razem dla potrzeb kina.

Z bohaterami filmu, mieszkańcami maleńkiej syberyjskiej wioski spotykamy się w dniach, gdy niemal wszyscy mężczyźni walczą na frontach pierwszej wojny. Wieść o rewolucji przynosi były żołnierz Paweł Susłow, który też w Niebiesnowce będzie jej pierwszym rzecznikiem i organizatorem radzieckiej władzy.

Nie można filmu Fietina zaakceptować bez zastrzeżeń. Jego grzechy dotyczą z jednej strony pewnych schematów czy może uproszczeń tam, gdzie Fietin odsłania motywy ludzkich działań czy wyborów, z drugiej pewnych dramaturgicznych niedoskonałości w prowadzeniu opowieści o Wirynei i jej współtowarzyszach doli i niedoli.

Ten sam film Fietina posiada jednak partie godne uwagi. Należy do nich między innymi scena pierwszej agitacji na rzecz władzy radzieckiej i partii bolszewików. W niej, i kilku innych zawarty jest bardzo przekonywający obraz niełatwych prawd o tamtych czasach i ludziach, których pozyskanie dla sprawy nie zawsze było wynikiem ich świadomości, sensu wydarzeń, w których uczestniczą.

Niezaprzeczalne wrażenie robią również pewne sceny rodzajowe znakomicie wtopione w obyczajowość i wykorzystujące naturalną plastykę krajobrazu a także starego malarstwa rosyjskiego. Za przykład niech tu służy scena umierania (nie śmierci) świątobliwego starca.

Głównym jednakże atutem filmu Fietina jest postać jego tytułowej bohaterki w świetnej interpretacji Ludmiły Czursiny. W jej kreacji wielowymiarowość i cały dramatyzm literackiej bohaterki znalazły swe znakomite filmowe ucieleśnienie.

Wiryneja Czursiny jest uosobieniem ludzkich pasji i namiętności. Aktorka ich nie nazywa, widać nie lubi półtonów. Umie w bezbłędny sposób odtworzyć całą skalę stanów uczuciowych Wirynei. Łączy liryzm z gwałtownością i okrucieństwem, subtelność natury z jej swawolnością, odtwarza nieustanny stan wewnętrznego napięcia i buntu bohaterki, jej poszukiwań miejsca w życiu.

Nie pierwszy raz się zdarza, że kreacja aktorska zdołała pokryć pewne słabości scenariuszowego rysunku postaci. Gdyby nie talent Czursiny, moglibyśmy w postaci Wirynei odnaleźć właśnie ów brak pełnej motywacji działań i decyzji bohaterki, o których to sprawach była mowa wyżej. Czursinie udało się je w znacznym stopniu zatuszować.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Już w samym tytule francuskiego filmu H. Deville'a „BENIAMIN CZYLI PAMIĘTNIK CNOTLIWEGO MŁODZIEŃCA" tkwi moment stylizacji. Cały film jest udanym pastiszem XVIII-wiecznej literatury i obyczajowości ściśle z nią zrośniętej.

Z tej epoki wchodzą do filmu postacie dla niej charakterystyczne: nauczyciel filozof, frywolne panie i służące, podstarzały donżuan i naiwny prostaczek. W malarstwie XVIII wieku, zwłaszcza w obrazach Watteau poszukano inspiracji plastycznej, w konstruowaniu fabuły sięgnięto do wzorów sentymentalnej komedii „igraszek trafu i miłości", której niezrównanym mistrzem był pan Marivaux, smak epoki podkreślono muzyką opartą na motywach utworów Boccheriniego i Mozarta.

Powstał film, w którym najlepszy wyraz znajduje francuski wdzięk i elegancja, która w dodatku na moment, mimo frywolności tematu, nie pozwala przekroczyć granic dobrego smaku. W ten sposób opowiadać i przedstawiać igraszki miłosne potrafią naprawdę chyba tylko Francuzi. W niezrównany sposób balansujący cały czas między skrajnościami — komedią i dramatem, uciechą i smutkiem, niewinnością i rozwiązłością, subtelnością i wulgarnością. Umiejętność zachowania równowagi pozostaje tu tajemnicą francuskiego „esprit".

Sukces całej tej, nie pozbawionej przekory zabawy spoczywał oczywiście również w rękach aktorów, którzy gry tej byli bohaterami. Michel Morgan w roli frywolnej hrabiny, Catherine Deneuve jako uduchowiona, pełna gracji Anna, Michel Piccoli jako podstarzały donżuan i Pierre Clementi odtwarzający rolę Beniamina, tworzą kwartet, którego umiejętności stanowią klasę samą dla siebie.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

James McNeill Whistler: Autoportret

WIADRO Z FARBAMI

„Blazen, który chlusta w twarz widza farbami z wiadra żądając za to 200 gwinei" — pisał brytyjski malarz i teoretyk sztuki, John Ruskin o swym koledze po pędzlu, którym był James McNeill Whistler (1834—1903).

Swoje obrazy Whistler przyrównywał do muzyki, kolory do akordów. „Scherzo w różowym, czerwieni i purpurze". „Harmonia w kolorze szarym i zieleni", „Nocturn w błękicie i kolorze złotym" lub po prostu „Symfonia w bieli" — takie tytuły dawał swoim płótnom. Malował dziewczynki, portretował wybitnych ludzi swej epoki, przenosił na płótno widoki z Wenecji i londyńskie mosty na Tamizie, ale obiekty jego malarstwa były dla niego sprawą drugorzędną. W istocie interesowały go głównie barwy, ich harmonia, układy kolorów.

Pierwsza wystawa retrospektywna Whistlera odbyła się w więcej niż pół wieku po jego śmierci bo w 1960 roku w Londynie, w osiem lat później w Chicago, a obecnie odbywa się w Berlinie zach. Ekspozycja ta gromadzi 60 płócien i 162 rysunki.

Whistler swe obrazy malował z niesłychaną wytrwałością i starannością. Chodziło mu bowiem o jak najwierniejsze oddanie kolorów i odcieni barwnych. I tak portret paryskiego krytyka Teodora Duret artysta przemalowywał aż 10 razy by uchwycić wszystkie niuanse barwne różowego szlafroka, w którym Duret pozował. Arcydzieło „Harmonia w kolorze szarym i zieleni", portret ośmioletniej dziewczynki w szaro-zielonej sukience, Whistler ukończył dopiero po 70 seansach.

James McNeill Whistler, z pochodzenia Amerykanin, rozpoczął swą karierę malarską w Paryżu w roku 1855. W cztery lata później wyjechał na stałe do Londynu skąd nadsyłał swoje obrazy do Paryża. Niestety nie znajdował tu uznania u oficjalnej krytyki. „Symfonia w bieli" odrzucona przez jury Salonu na równi z jakże sławnym dziś i cenionym „Śniadaniem na trawie" Maneta, trafiła wraz z tym ostatnim obrazem do legendarnego już teraz „Salon des Refuses", Salonu Odrzuconych.

Obecnie Whistler zajmuje coraz bardziej poczesne miejsce w historii sztuki.

FLORENCJA I MACHIAVELLI

Pięćset lat temu, 3 maja 1469 roku urodził się we Florencji słynny pisarz polityczny, historyk, komediopisarz i poeta, Niccolo Machiavelli.

W związku z tą pięćsetną rocznicą urodzin odbyła się we Florencji międzynarodowa konferencja poświęcona życiu i twórczości pisarza. W jednym z pałaców zorganizowano wystawę rękopisów i książek Machiavellego. Teatry wystawiają widowiska w oparciu o jego twórczość. Przypomnijmy, że Niccolo Machiavelli jest m. in. autorem „Mandragory", która uchodzi za jedną z najlepszych komedii włoskiego Odrodzenia.

SPRZECZNE SĄDY O OKUDŻAWIE

Twórczość Bułata Okudżawy znana jest w Polsce. Mamy w przekładzie na język polski jego powieść pt. „Jeszcze pożyjesz..." („Bud' zdorow szkolar"), jego wiersze, znamy na podstawie jego scenariusza nakręcony film pt. „Żenia, Żeniczka i Katiusza", znamy jego i jego ballady z telewizji, radia i wreszcie z płyty, jaka niedawno ukazała się u nas w sprzedaży (pierwsza płyta na świecie poświęcona przekładom Okudżawy).

Ostatnio ukazała się w ZSRR nowa powieść Bułata Okudżawy pt. „Biednyj Awrosimow". „Litieraturnaja Gazieta" w numerze 41 z dnia 8 października br. podaje dwie kontrowersyjne oceny tej powieści. I tak Władimir Buszin wysuwa wobec powieści szereg poważnych zarzutów, a więc m. in., że choć jej tematem jest sprawa dekabrystów, bohaterem i ośrodkiem akcji jest bardzo przeciętny urzędniczyna, pisarz sądowy, Awrosimow. Buszin ironizuje następnie, że Okudżawa więcej pisze o pięknych kobietach niż o samych bohaterach ważnego wydarzenia dziejowego i wreszcie recenzent gromi autora za język, styl i sposób pisania. Wręcz odmienne zdanie o powieści wypowiada Gieorgij Sztorm. Nie negując niektórych nieścisłości historycznych w przedstawieniu zdarzeń i w opisie realiów, Sztorm ocenia powieść Okudżawy jako typowo psychologiczną, w której „maleńkij człowiek" wpleciony w machinę carskiego systemu, pod wpływem nieugiętej i bohaterskiej postawy Dekabrystów, zmienia całkowicie swój światopogląd.

„Powieść napisana jest z niezwykłym talentem — kończy recenzję Sztorm — To pełna natchnienia opowieść o „małym człowieczku" w wichrze historii, o obowiązku, honorze, służbie ludowi, wierności idei i męstwie".

NIEZNANE LISTY JEANA COCTEAU

Paul Morand pisze w „La Revue des belles-lettres", którego ostatni numer ma tytuł „Memorial Jean Cocteau" o istnieniu tysiąca dwustu nie publikowanych dotąd listów pisanych przez Jeana Cocteau do swej matki. Przypomnijmy, że 11 października br. minęło sześć lat od śmierci tego utalentowanego poety, dramaturga, powieściopisarza, malarza, rysownika i filmowca.

NOWA KSIĄŻKA PIERRE BOULLE'A

Pierre Boulle (ur. w 1912 r.) autor słynnej powieści pt. „Most na rzece Kwai" za którą otrzymał Prix Sainte-Beuve i którą tłumaczono na wiele języków (m. in. i na polski) i która została sfilmowana, znany jest polskiemu czytelnikowi. Ostatnio ukazała się nakładem „Czytelnika" książka Boulle'a pt. „Fotograf". Powieść ma interesującą, sensacyjną fabułę. Obecnie, jak donosi paryski tygodnik „l'Express" Pierre Boulle kończy pracę nad nową powieścią zatytułowaną „Serce i galaktyka". Podobno autor zapisał się na kurs programowania mózgu elektronicznego, gdyż te doświadczenia potrzebne mu są przy pisaniu najnowszej jego powieści.

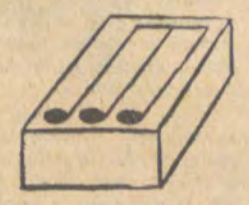

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

- **„Oko w oko z drewnianą głową" — spotkanie JANUSZA ROSZKO.**
- **„Hippie w sztuce i jego pies" — pisze JOLANTA MACH.**
- **O ludzkiej przyjaźni — pisze JÓZEF ŚMIAŁOWSKI**
- **Kosmiczny klaps, recenzje, felietony, nowela kryminalna.**

Spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Straszny dwór",	1	1120	90
„Cyrulik sewilski",	2	2520	100
„Faust",	1	1260	100
NOWY			
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę",	2	2800	100
„Szkoła kobiet",	1	350	50
MAŁA SALA			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym",	1	200	100
„Bliski nieznajomy",	1	120	60
„Kaprys" „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte",	2	400	100
„Szkoła kobiet",	1	200	100

od niedzieli do niedzieli

CZEGO BRAK W „FILMOSIE"?

FUTUROLOG I DZIECI — FILMOWE LEKCJE — NÓŻ TOKARSKI AKTOREM — 4,5 TYSIĄCA FILMÓW — PARADOKSY, PARADOKSY! — KTO MYŚLI 8 MINUT?

Ulubioną zabawą futurologów jest zadawanie dzieciom wypracowań na temat „Jak sobie wyobrażasz szkołę w roku 2000". Dzieci — jak to dzieci — odpowiadają zazwyczaj, że będą takie maszynki do uczenia i zamiast lekcji wyświetlać się będzie filmy. Przynajmniej w połowie marzenia dzieci spełnią się na pewno — „maszynek do uczenia" nie będzie, ale film wkroczy do szkół z całą pewnością.

Prawdę mówiąc to nie trzeba czekać, że „za trzydzieści parę lat", bowiem już dziś film oświatowy pełni w wielu szkołach rolę bardzo poważną. Właśnie dlatego powołano przed laty obok Centrali Wynajmu Filmów — Centralę Filmów Oświatowych „Filmos". Gdybym był złośliwy to bym rzekł: „powstała instytucja tylko zapomniano o... filmach dla niej". Ponieważ jednak złośliwy nie jestem powiem tylko, że „Filmos" ma spore kłopoty z oświatowym repertuarem.

Pozornie sprawa wygląda dość gładko. „Filmos" dysponuje ponad 4,5 tysiącami tytułów. Warto jednak pamiętać, że 80 proc. klientów Centrali to szkoły. I właśnie tu jest pogrzebany ów filmowy pies. „Filmos" boryka się z ogromnymi niedoborami tematycznymi właśnie z tego zakresu.

Producenci realizujący filmy przecież oświatowe jak gdyby zupełnie zapomnieli o szkolnych programach. Owszem — jest sporo filmów geograficznych — głównie o Afryce, Kubie, Mongolii (kilkanaście tytułów!)... Brak natomiast filmu szkolnego o NRD. Absolutny brak filmów szkolnych z zakresu chemii organicznej, mało dobrych szkolnych filmów z życia dawnej Polski — przydatnych w nauce historii.

Owszem — są filmowe portrety pisarzy, ale tak trochę „od Sasa do Lasa"... Parandowski i Wyspiański, Broniewski i Neverly. Nikt jednak nie pomyślał jak dotąd o zrealizowaniu filmów — sylwetek takich postaci historycznych jak Frycz-Modrzewski, Kochanowski, Sienkiewicz, Krasicki czy Staszic, Waryński, Dąbrowski... „Filmos" notuje więc nadal spore braki tematyczne z zakresu historii, języka polskiego.

Te uwagi o tematycznych brakach są oczywiście kamykiem do ogródka producentów. Piszę „producentów", bowiem nie tylko o łódzką „oświatówkę" tu chodzi. Filmy oświatowe i szkolne realizują także inne wytwórnie. Wydaje mi się jednak, że jest to produkcja uboczna w tym mało pozytywnym sensie. „Czołówka" na przykład kręci filmy dla szkół technicznych. Chwalą jej za to, ale... Czy rzeczywiście istnieje zapotrzebowanie na dziesięć różnych filmów na temat noża tokarskiego?

Oczywiście nóż tokarski jest ważny, ale przecież jednocześnie i „Filmos" i szkoły notują brak filmów z fizyki, biologii, higieny, anatomii, zoologii. Coś tu więc nie w porządku z koordynacją. Nie można powiedzieć, że filmów nie ma, bo przecież 4,5 tysiąca tytułów to nie pestka, a jednak luki tematyczne są tak ogromne, że poważnie utrudniają pracę „Filmosu" a szkołom nauczanie według nowoczesnych metod.

Jest jeszcze jedna sprawa, którą warto by dla dobra szkół załatwić. Otóż jak wiadomo mamy sporo filmów fabularnych wiążących się ściśle z programem szkolnym. Są to przede wszystkim filmowe adaptacje utworów literackich — „Zemsta", „Krzyżacy" itp. Myślę, że byłoby dobrze, aby Naczelny Zarząd Kin zezwolił „Filmosowi" na ich rozpowszechnianie.

Zostawmy jednak szkoły, bo pozostaje jeszcze owe 20 proc. innych odbiorców „Filmosu". Niestety, ciągle brak dobrych filmów z dziedziny przemysłu lekkiego. Na 4,5 tysiąca tytułów „Filmos" dysponuje zaledwie... 27 filmami techniczno-instruktażowymi z tego zakresu. Zresztą znaczny procent filmów instruktażowych, włókienniczych — to pozycje nieaktualne, których data produkcji sięga nieraz roku 1957. A przecież przez te dwanaście lat coś niecoś zmieniło się w polskim włóknie.

Byłbym nieuczciwy, gdybym twierdził, że nie ma w Polsce aktualnych filmów instruktażowych z przemysłu lekkiego. Owszem — są takie filmy — powstają m. in. na zlecenie zjednoczeń czy central przemysłowych, tylko... te filmy wyłączone są z rozpowszechniania „Filmosu". Tak więc trudno o nich mówić pisząc o działalności Centrali Filmów Oświatowych. A nawiasem mówiąc to też nielichy paradoksik.

Nie pierwszy to zresztą i nie ostatni paradoks. „Filmos" odczuwa brak potrzebnych szkolnych filmów z dziesiątków dziedzin — działając w stolicy polskiego włókiennictwa nie ma aktualnych filmów ilustrujących nowoczesne metody produkcji, nie ma filmów „behapowskich" z przemysłu... Ale — o paradoksie — ma dziesięć filmów o nożu tokarskim oraz film, który wprowadził mnie w głęboką zadumę:" Wieki myśli ludzkiej" — nosi ten film. Czas trwania — 8 minut. Coś niebywałego — wieki myśli ludzkiej w osiem minut. Wydaje mi się, że kłopoty „Filmosu" biorą się też stąd, że ktoś tak krótko myśli, że nie może myśleć zbyt dobrze.

JERZY WIDOK

Bez strachu

MYŚLI, SŁOWA, PRZEDMIOTY

Kamień w polu, gwiazda, krzesło w pokoju, trwają, jak mniemamy, spontanicznie, rozsądkowo, wbrew tezie subiektywnego idealizmu, w pełnej od nas niezależności, obojętne na nasze postrzeganie, zadowolenie, czy obojętność. Spontanicznie przekonani o istnieniu przedmiotów — mało często o nie dbamy — niech sobie tam bytują bez nas, aż do chwili kiedy umyślimy podnieść kamień, usiąść na krześle, przyjrzeć się gwieździe... Wydaje się, że wyższą rangę przyznajemy naszym myślom, uczuciom, aktom woli... A przecież niekiedy mówiąc o poezji Mickiewicza, jako jej walor najwyższy podajemy właściwość bardzo osobliwą, tę mianowicie, że Jego myśli i uczucia mają siłę trwania przedmiotów... Zatem myśli i uczucia przypominające przedmioty, to uczucia i myśli o największym ontologicznym walorze. Tak mniemamy — my, którzy skłonni jesteśmy zazwyczaj, potocznie, codziennie stawiać wyżej to co pomyślane i przeżyte, nad to co rozciągłe w przestrzeni i oporne, a przecież dostępne pomiarowi i obiektywnemu badaniu. Wydaje się, że stosujemy naszą gradację niekonsekwentnie, chwaląc myśl i uczucie jeżeli przy pomina niżej zazwyczaj stawiany przedmiot. Kamień, gwiazda, i krzesło z jednej, a Wielka Impro wizacja Konrada z drugiej strony — przed czym pochylić czoła? Być może należy chwalić poezje Mickiewicza, bowiem wyrażone w niej myśli i uczucia nie posiadają siły trwania przedmiotów, dlatego, że w istocie zupełnie od przedmiotów są różne. Jednak pochwała przez upodobnienie do przedmiotów jeszcze w szkole przez nas przyjęta zobowiązuje, zmusza do analizy, wzbudza niepokoje. Słowo poety jak kamień, jak krzesło, jak gwiazda... Nasze słowa zmieniamy, „połykamy" — mamy wiele wersji słownych każdej niemal życiowej sprawy, a kamień trwa w polu, a krzesło stoi w pokoju, a gwiazda błyszczy nad głową. Nawet jeżeli poczniemy ciosać kamień w brukową kostkę, nawet jeżeli poczniemy łamać stare krzesło na opał, nawet jeżeli uderzymy rakietą w gwiazdę. Jakże twardo będą bronić swej tożsamości zanim kamień stanie się brukową kostką, krzesło płomieniem i dymem, gwiazda — ludzkim ogrodem. Otóż słowa o sile trwania przedmiotów to słowa trwałe, rzeczywiste — przeciwne słowom tandetnym, połykanym — to słowa pełne, kompletne — słowa samoistne. Słowa zawierają treść, noszą treść, przedmioty trwają bez treści. Trwałość treści określa ranga najczystszego, poetyckiego słowa. Poeci wielcy to poeci trwali. Sprzęgnięcie wartości myśli, słów i przedmiotów działa synergetycznie — jest awansem dla każdej z tych kategorii. Myśli i słowa bywają zwiewne, tandetne, kamień, krzesło i gwiazda milczą bezsłownie.

BERNARD SZTAJNERT

HAL ELSON

PODWÓJNA GRA

— Czy jesteś pewny, że wszystko dobrze pójdzie? — zapytał ponownie Wincenty.

— Jeszcze sobie tym głowę zaprzątasz? — zdziwił się Artur. — To przecież prosta sprawa. Niedługo będzie po wszystkim.

Samochód zbliżał się do miasta. Wieś i domek Wincentego pozostały daleko w tyle.

— Rozmyśliłem się, odwieź mnie z powrotem! — zdecydował nagle Wincenty. — Znajdź sobie kogoś innego.

— Już jest za późno. Opanuj się, pomyśl o Róży. Przecież to wszystko dla niej. Czeka na ciebie.

Był to argument, którego Artur używał od dwóch tygodni. Poskutkował także i tym razem. Wincenty przypomniał sobie nędzne warunki, w jakich żył dotychczas, rozpadający się dom, w którym męczyła się Róża. Jeszcze trochę cierpliwości, a wszystko zmieni się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Będzie bogaty, bardzo bogaty!

Auto przejeżdżało przez most cementowy na rzece.

Wjechali w willową dzielnicę miasta. Artur zatrzymał wóz przed białym domem otoczonym cyprysami. Wokoło panowała cisza, ulica była pusta.

— Jesteśmy na miejscu. Nie będziesz miał żadnych kłopotów. O tej porze jest w domu tylko pani Sanabria. Pamiętaj, gdy będziesz stamtąd wracał, idź do samochodu spokojnie, bez pośpiechu.

— A jeżeli ona nie otworzy kasy pancernej? — zapytał Wincenty.

— Przyłóż jej to do czoła — odpowiedział Artur, wyciągając spod marynarki pistolet.

Wincenty niepokoił się. — Może ty tam wejdziesz, a ja za czekam na ulicy?

— Też pomyślł A kto będzie prowadził samochód, gdyby coś się stało? Nie dyskutujmy, trzeba się spieszyć. Niedługo pokojówka wróci z rynku.

Wincenty wziął pistolet i schował do kieszeni. Idąc cyprysową aleją dyszał ciężko, krople potu spływały mu po chudym karku. „Jestem szalony — myślał z rozpaczą — szalony, szalony"!

Otworzył drzwi. W korytarzu stała senora Sanabria. Wincenty czuł, jak mu drętwieje ręka, w której trzymał pistolet. Nie mógł otworzyć ust, wyrzec słowa. Nagle zobaczył przerażenie w oczach kobiety. I odtąd wszystko stało się proste. Podniósł broń. Słowa, których nauczył go Artur, wyszły z jego ust mechanicznie. Pani Sanabria wypełniała jego rozkazy jak lunatyczka. Zaprowadziła Wincentego na najwyższe piętro do kasy pancernej, otworzyła ją, a potem upadła nieprzytomna.

Wincenty wyjmował paczki banknotów i chował je za koszulę. Potem skierował się ku drzwiom. Na progu zatrzymał się skamieniały z przerażenia. W ciszy domu rozległy się nagle kroki mężczyzny. Szedł po schodach do góry. W połowie piętra zatrzymał się i spojrzał na intruza. Otworzył usta...

Wincenty strzelił. Ciało stoczyło się ciężko w dół. Zabójcę ogarnęła panika. Biegł ku wyjściu, minął cyprysy i wskoczył do czekającego samochodu, który natychmiast ruszył.

Artur, przeraźliwie blady, ściskał kierownicę. Zaczął mówić dopiero wówczas, gdy wyjechali na szeroką i ruchliwą ulicę.

— Co się stało?

— Wszedł do domu jakiś mężczyzna.

— Wiem. Nigdy nie przyjeżdżał o tej porze.

— Kto to był? — zapytał Wincenty.

— Sanabria. Co się stało?

— Zabiłem go.

— A pieniądze? Wziąłeś?

Wincenty przytaknął.

Artur roześmiał się. — Widzisz, jakie to wszystko było proste. Uciekliśmy i jesteśmy bezpieczni. Nie ma żadnych świadków.

Wincenty zadrżał. — Policja zawsze znajdzie sposób, aby wytropić zbrodnię.

— To są głupcy, wierz mi. Jesteśmy teraz poza wszelkim podejrzeniem i niebezpieczeństwem.

„To my dwaj jesteśmy głupcami" — myślał Wincenty. — „Zabiłem człowieka, zabiłem człowieka" — powtarzał zrozpaczony.

W godzinę później zatrzymali się przed obskurnym hotelem, w którym mieszkał Artur. Gdy znaleźli się w pokoju, Wincenty wyjął pieniądze i rzucił je na łóżko.

— Jesteśmy bogaci — oznajmił Artur policzywszy banknoty. — Rozumiesz, co mówię... Jesteśmy bogaci!

Wincenty milczał. Jego przyjaciel zawinął pieniądze w gazetę i schował paczkę pod materacem.

— A teraz chyba należy nam się odpoczynek. Musimy uczcić nasz sukces.

— Sukces? Ja zabiłem człowieka!

— Dosyć biadolenia! Nie miałeś go przecież zamiaru zabijać. To jego wina, że wlazł w tę sprawę. Chodźmy już, zaraz się uspokoisz.

Bar naprzeciwko hotelu był pusty. Usiedli przy stoliku. Artur zamówił szampana. Po kilku kieliszkach Wincenty opuścił głowę na stolik i zasnął. Obudziło go mocne szarpnięcie.

— Wstawaj, najwyższy czas, abyśmy sobie poszli! — złościł się przyjaciel. — Nie możesz tu przecież spać.

Wrócili do hotelu.

— Jak się czujesz? — zapytał Artur. — Czy chcesz stąd zaraz odjechać?

— Jak tylko dasz moją część pieniędzy.

Artur roześmiał się. — Nie zapomniałeś o tym! A więc będziemy się dzielić.

Uniósł materac. Nie było śladu pieniędzy!

Zginęły! — krzyknął Artur. Ściągnął materac na podłogę. Obaj mężczyźni patrzyli z przerażeniem na gołe sprężyny. A potem stanęli naprzeciwko siebie twarzą w twarz.

— A więc to tak? — zapytał Wincenty.

— Ktoś wszedł do pokoju i okradł nas. Śmierdzący hotel pełen złodziei! — wrzasnął Artur.

— Pieniądze! Chcę moją część pieniędzy — nalegał Wincenty.

— Chcesz pieniędzy? A ta? — oburzył się Artur. — Myślisz, że opracowałem ten skok za nic?

Wincenty czuł jak ogarniają go mdłości. Zabił człowieka... Jest mordercą... I jeszcze to się wydarzyło: przyjaciel go oszukał. Co teraz powie Róży?

— Odwieź mnie do domu — zawołał. — Mam dość tego wszystkiego!

— Jak uważasz — zgodził się Artur.

Zeszli w milczeniu po schodach i wsiedli do samochodu. Gdy maszyna ruszyła, Wincenty zażądał: Jedźmy przez rynek!

Było to z drogi i Artur próbował protestować, lecz w końcu ustąpił. Podjeżdżając do rynku zauważył namioty ustawione przez Cyganów.

— Zatrzymaj się tutaj — powiedział Wincenty.

Gdy wóz zatrzymał się, Wincenty wysiadł i poszedł do obozu. Niedługo wrócił w towarzystwie starej Cyganki.

— Pokaż jej rękę — rozkazał zdziwionemu Arturowi.

Cyganka obejrzała dłoń i rzekła: Widzę, że jesteś bogaty. Masz mnóstwo pieniędzy.

Artur zbladł. — Gdzież te pieniądze mają się znajdować?

— Pod tylnym siedzeniem samochodu.

— To interesujące. Chciałbym, żebyś mówiła prawdę, ale niestety, tam pieniędzy nie ma. Zła z ciebie wróżka.

— Są tam — powtórzyła Cyganka. Znów spojrzała na rękę Artura i szybko ją odtrąciła.

— Co jeszcze zobaczyłaś? — zapytał Artur.

— Nie powinnam tego mówić... Niewiele jeszcze zostało ci życia.

Wincenty zapłacił Cygance za wróżbę. Obaj przyjaciele wsiedli do samochodu. W czasie jazdy żaden się nie odzywał. Wjechali na bezludną drogę.

— Dlaczego milczysz? — zapytał Artur.

— Rozmyślam.

— O Cygance? Chyba nie rób wiesz, że wierzysz w te bzdury, które wymyśliła.

Wincenty rozejrzał się po pustkowiu. — Zatrzymaj się! — rozkazał nagle.

Zdumiony Artur zahamował, auto stanęło. Odwrócił głowę w kierunku Wincentego — i znalazł się na wprost otworu pistoletu.

— Co robisz, do diabła? — krzyknął Artur.

— Wiesz dobrze, co chcę zrobić. Oszukałeś mnie. Byłem głupi, a teraz jestem złodziejem i zbrodniarzem, ponieważ cię posłuchałem.

Wincenty strzelił. Nie spojrzawszy nawet na Artura wysiadł z samochodu. Otworzył drugie drzwiczki i uniósł tylne siedzenie. Były tam różne narzędzia, lecz ani jednego banknotu ze skradzionych pieniędzy!

Wsunął pistolet do kieszeni i ruszył w kierunku miasta. Przy był tam już o zmierzchu. W przedsionku hotelu Artura siedział za ladą portier i spał. Wincenty szedł cicho po schodach. Drzwi pokoju Artura nie były zamknięte na klucz. Wszedł do środka. Paliło się światło. Kobieta o kruczych włosach siedziała na łóżku i liczyła stosy banknotów.

Nie zauważyła Wincentego. Jego ręce zacisnęły się mocno wokół jej szyi.

* * *

Gdy Wincenty przechodził obok urzędnika hotelowego, ten jeszcze spał. Na ulicy owionął go świeży wiatr od morza. Na gle uniosła się w górę kolorowa rakieta i rozbiła pod kopułą ciemnego nieba, a za nią dziesiątki innych rakiet. Z placu centralnego ruszył przez miasto wesoły pochód z muzyką i śpiewem.

Wincenty oglądał sztuczne ognie. Ach, jak by to się podobało Róży! Widział ją znowu martwą w pokoju hotelowym z refleksami światła na długich, czarnych włosach. Zapłacił za zdradę żonie i przyjacielowi — wszystkie rachunki były uregulowane.

Oprac. A. S.

Lewym okiem

WSZYSTKO Z WSZYSTKIEGO

Poczynania człowieka w zakresie traktowania rzeczy, służących jego potrzebom, wykazują czasem zupełnie nieoczekiwane zwroty i koziołki. Postęp techniczny polega przecież głównie na coraz lepszym dostosowaniu przedmiotów do służenia ludziom. Na ciągłym doskonaleniu poszczególnych wyrobów — aż do granic możliwości, do ideału: but powinien być idealnym butem, arcywygodnym, superhigienicznym, miękkim i lekkim jak nic; nóż powinien mieć trzonek ideał nie leżący w dłoni, a ostrze takie, żeby kroiło stal, a nie kaleczyło palca. Z kolei także surowce i tworzywa poddane są tym samym procesom. Materiał na doskonałe ubranie coraz bardziej powinien się różnić od materiału na doskonałą bieliznę, bo ubranie i bielizna, to dwa odrębne, dążące do ideału światy. Szkło na okna samochodowe to co innego niż materiał, z którego należy wytwarzać idealnie wygodne fotele...

Aż pewnego dnia okazuje się, że jakaś granica zostaje osiągnięta i następuje generalne materii pomieszanie. Jakby się nagle wszyscy zbuntowali przeciw nadmiernym rygorom celowości, przeciw jawiącym się co krok i co sekunda normatywom w rodzaju: „zimą chodzi się w wełnianych skarpetkach", „meble wyrabia się z drzewa", „kreton to materiał na letnie, tanie sukienki". Przesąd! Nie ma żadnych powszechnie obowiązujących reguł. Jak w tej noweli zapomnianego dziś, przedwojennego specjalisty od groteski i lekkiej makabry, Stefana Grubińskiego, w której bohater przebił widelcem własnego ulubionego psa, bo zbuntował się przeciw przesądowi lubienia i przywiązania. „Głaszcze się psa, którego się lubi?" Przesąd! Można go przebić, zrywając jednym ciosem widelca skotniałą, dogmatyczną więź między przyczyną, a skutkiem!...

Nie zawracajcie nam głowy staroświeckim (a zdawało się do niedawna, że nowoczesnym!) gderaniem o celowości! Kreton był kiedyś materiałem sukienkowym? Proszę bardzo: dziś wiesza go się w oknach, szyje się z niego męskie koszule, ba! — nawet męskie spodnie, plażówki, tapety, prześcieradła. Meble mogą być ze szkła, gumy i plastyku, za to buty z gumy, z plastyku i ze szkła, a zabawki dziecięce z plastyku, szkła, kretonu i gumy. Bluzki dziewczęce z koroneczkami noszą brodaci młodzieńcy, a studentki wciskają się w jak najbardziej traperskie portki z łatami w co ciekawszych miejscach. Żyrandole robi się z papieru, kapelusze z trawy, papier ze słomy, a jednocześnie z papieru są też wieczorowe toalety pań, z trawy — wytworne dywany, ze słomy — meble z wysokim połyskiem, dachy i obrok dla zacofanych krów. Wszystko nadaje się do wszystkiego. Ilość możliwych do pomyślenia kombinacji surowcowo-materiałowo-użytkowych potęguje się do niewyobrażalnych liczb, jest w czym wybierać!

I kto wie, może to właśnie jest ów najskrytszy sen przeciętnego mieszkańca planety Ziemia z drugiej połowy dwudziestego wieku: sen o nieskończonej bazie wybiorczej: sen o wyzwoleniu się całkowitym z konieczności przestrzegania jakichkolwiek kryteriów wyboru, także — kryterium celowości. Przecież każdemu celowi służyć może idealnie tylko jeden jedyny przedmiot, o jedynym idealnym kształcie, kolorze, wymiarze itd. Cóż by to była za nuda, gdybyśmy wszyscy — jak nas jest trzy miliardy — usiedli na identycznych, idealnych, naj—najidealniej pomyślanych krzesłach!

Na szczęście ta nuda nam nie grozi. Nie grozi nam idealnie zracjonalizowany świat, „nowy, wspaniały świat" Huxley'a, potrafimy — jak się okazuje — zachować suwerenną postawę nad wszelkimi „obiektywnymi" racjami, pozwolić sobie na kaprysy, niuanse, grymasy. Ta szczypta nielogiczności jest widać konieczna, jeśli wolimy pozostać ludźmi, a nie stać się dodatkiem do idealnie ustawionego przez nas samych supermechanizmu. Byleby to była szczypta soli w talerzu dobrego rosołu, a nie kropla rosołu w beczce soli.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny). Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (poezja i proza). Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2318. B-12.